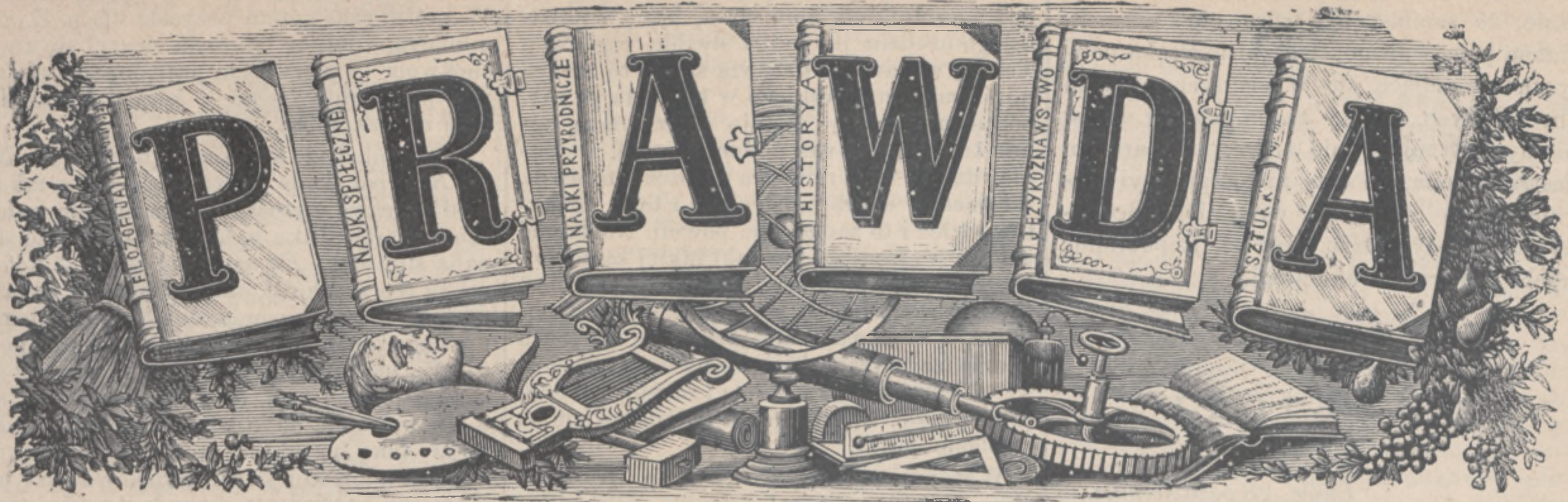
№ 45. Warszawa, dnia 5 Listopada (24 Października) 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Zwracamy uwagę czytelników na ogłoszenie Spółki Nakładowej umieszczone na ostatniej stronicy.

POLITYKA.

HISTERYZM POLITYCZNY.

Rzeczpospolita francuzka, utrwaliwszy swoje podstawy, zaczęła się śmiać z rozmaitych pretendentów do obalonego tronu, z ich rojeń, umizgów do ludu i dumnej bezsiły. Powoli wszakże śmiech ten słabł, tracił na szczerości i mocy, chwilowo bywał sztucznym lub mieszał się ze źle ukrytą troską, a czasem nawet ustępował miejsca gniewowi — jak np. w sprawie wygnania książąt. Nareszcie — w ostatnich tygodniach — Rzeczpospolita nietylko żartować przestała, ale jak gdyby uczuła pewną trwogę o swe bezpieczeństwo. Co to znaczy? Dziś po 16 latach trwania stoi chwiejniej, niż wówczas? Przecież maszynę państwową przerobiono w duchu republikańskim, przecież wytworzono szereg odpowiednich mu instytucyj, przecież zmieniono pojęcia i dążności polityczne narodu — skąd więc trwoga i niepokój? Czy którykolwiek z pretendentów otoczył się blaskiem niezwykłym? Czy może wszyscy przelali swe prawa na jednego, którego wspólnymi zabiegami popierają? Bynajmniej, żaden nie podniósł swej głowy po nad miarę poprzednią, zwykłą, żaden nie zrzekł się swych pretensyj na korzyść innego, a mimo to Rzeczpospolita drży. Czemu?

Drży przed własną niemocą i rozkładem. Obiecywała ona i mogła była więcej dotrzymać, niż dokonała, obrzydła ludziom najszczerzej w niej zakochanym, stała się płaszczem, dartym i rozciąganym na wszystkie a liczne strony przez interesy osobiste. Zanim dojrzała, gnije, dotąd nie wyszła z wrzenia, albo raczej coraz bardziej w zamęt wpada. Nie ma trwałego rządu, nie ma określonego kierunku działań, żyje z dnia na dzień, bez planu, bez ufności do jutra. Wszystkie jej stronnictwa umieją tylko wichrzyć, paraliżować wzajemnie swoje roboty, ale żadne nie może uchwycić steru w swoje ręce i pokierować nawą państwa. Jest to chaos bez przeważającej siły, wir bez osi, kotłowanie się żywiołów pokłóconych. Nie wiadomo, kto w tym nieszczęśliwym kraju przewodzi, gdyż przeciwległe albo nawet zbliżone partye odbywają huśtawkę, w której to jedna lub druga idzie na dół albo w górę. Te wahania zaś nie następują po sobie w znacznych odstępach czasu (jak w Anglii), ale w kilka tygodni lub miesięcy. Przytem zażartość walki jest tak wielką, że przeciwnicy obrzucają się nieustannie wszelkiem możliwem błotem. Najnędzniejszy z nędzników zwykłych nie dźwiga na sobie tyle złorzeczeń, obelg, oskarżeń i hańby, ile każdy z byłych lub urzędujących ministrów francuzkich. Gdyby uwierzyć wrogiej im opinii, są to: zbrodniarze, złodzieje, oszuści, opryszki, przed którymi wzdrygać się powinny ściany najstarszych kryminałów. Każdy mąż stanu — Ferry, Freycinet, czy Rouvier — obejmuje władzę lub opuszcza ją śród wściekłej kociej muzyki, w której uczestniczą ludzie poważni, przebrani za uliczników i łobuzów. Potrzeba też szczególniejszego rodzaju odwagi i bezwrażliwości, ażeby we Francyi sięgnąć po tekę ministeryalną i stanąć pod tymi upustami wymysłów. Ostatni gabinet ledwie sklejono, niedługo poprostu zabraknie rządowi kandydatów uczciwych i będzie on musiał chyba ich wybierać z szumowin narodu.

Zdawało się, że w tym ciągle burzonym i rozsadzanym gmachu jest przynajmniej jedna kolumna stała — prezydent Rzeczypospolitej. Nie oszczędzano i jego: pisma skandaliczne zohydzały nieprzerwanie zacnego starca, codzienną strawą czytelników były złośliwe opowieści o jego skąpstwie, mniemanych procesach z lokatorami, kłótniach z kucharką itd. Ale wszystkie te błazeństwa, chociaż osłabiały powagę naczelnika państwa w tłumie, nie podrzucały pod niego bomb dynamitowych. Tymczasem odkryto szacherkę gen. Caffarela z orderami legii honorowej i związano go z Wilsonem. Zamiast oszczędzić prezydentowi przymówek, przylepiono go do zięcia i razem obu zaczęto płazować. Była chwila, że Grévy chciał opuścić swe stanowisko. Pomijając to, że trudno byłoby wynaleźć godnego następcę tam, gdzie już trudno wynaleźć ministra, ważniejszą jest okoliczność, że warcholstwo, raz zasmakowawszy w takiem podsadzaniu się pod prezydenturę, za kilka miesięcy wyparłoby drugiego a wtedy rząd francuzki zatraciłby w sobie zupełnie pierwiastek trwałości i pozostałby jakimś uliczno-rewolucyjnym kalejdoskopem.

Jednocześnie hr. Paryża, pretendent do korony, wyzyskując słabości Rzeczypospolitej i odrazę narodu do jej awantur, zebrał swoich stronników na poważną naradę i ułożył z nimi plan „restauracyi." Plan ten ma oparcie nietylko w zniechęceniu się kraju zamętem wewnętrznym, ale nawet w kombinacyach zewnętrznych. Według głuchego odgłosu zamiarów Bismarka, grozi on Rzeczypospolitej pomocą knowaniom monarchicznym, jeżeli z jej strony rękojmi zgodnego pożycia nie otrzyma. Że zaś ten lub ów pretendent taką czasową rękojmię za skuteczny sojusz by mu zapewnił, wątpić nie potrzeba.

Oto, dlaczego Rzeczpospolita francuzka śmieje się z kandydatów do tronu i coraz mocniej uczuwa dreszcze obawy o swe życie. Widzi ona, że nie może wyjść z rozstroju, że w organizmie jej objawia się roz-

kład, że żywioły ją składające nie są dojrzałe, że zamiast być zdrowem i mocnem ciałem państwowem, jest histeryczką polityczną, tarzającą się w ciągłych atakach chorobliwych, że jej żaden potężny umysł nie hypnotyzuje i nie uzdrawia. Zarazem dostrzega ona, że z jej histo-epilepsyi pragnie i może skorzystać wróg nieprzejednany a straszny. Dziś: vive la Republique! trzeba wykrzykiwać ciszej.

Z GALICYI.

Lwów, 28 października.

Z dziejów nominacyi urzędników w Galicyi. — Syn ministra Dunajewskiego. — Mieszkanie dla starosty w Żywcu. — Przyczynek do historyi swobody konstytucyjnej. — Interpelacyjna odpowiedź. — Konfiskata *Reformy*.

Przyzwyczailiśmy się już oddawna do tego, że u nas tylko pewna, uprzywilejowana klasa ludzi jest stworzoną do rządzenia i do zajmowania wszystkich wygodnych posterunków w służbie publicznej. Znaną jest również rzeczą, że zbankrutowany szlachcic, który zaledwie jako tako posiadł kunszt czytania i pisania, zawsze jeszcze znajdzie wygodne umieszczenie w instytucyach autonomicznych lub innych, opanowanych przez rządzącą w kraju koteryę. Rzeczy to są tak znane, że mimo rażącej jaskrawości niektórych wypadków nie budzą nawet silniejszego wrażenia. Jako całkiem słuszne i naturalne uważa się np. to, że młody hrabia Potocki Józef (syn Alfreda) w rok, czy $1\frac{1}{2}$ roku po wstąpieniu do służby w namiestnictwie lwowskiem zostaje komisarzem *) lub, że hrabia Borkowski po 10 pono latach służby zostaje starostą w Krakowie, gdzie jest naczelnikiem komisarza, który w chwili jego urodzin już był w służbie rządowej. Trochę wprawdzie krzywią się na to, że syn ministra Dunajewskiego w trzy lata po rozpoczęciu karyery zostaje sekretarzem namiestnictwa a w rok potem starostą, ale ponieważ to syn ministra i jeszcze ministra, ratującego skarb austryacki z toni deficytów, więc i to zaciera się powoli. Niedawno jednak wyszedł na jaw fakt takiej samowoli w sprawach nominacyi urzędników u nas, że aż rzecz ta oparła się o parlament. Opowiem w krótkości całą sprawę, gdyż rzuca charakterystyczne światło na nasze stosunki, między innymi także i na służące nam niby prawa konstytucyjne, mianowicie na swobodę prasy.

Wspomniany przed chwilą p. dr Stanisław Dunajewski, młodzieniec, niemający lat 30, został mianowany starostą w Żywcu. Od roku już żonaty, zapragnął odpowiedniego dla swej godności mieszkania. Żywiec niestety nie Wiedeń lub Lwów, więc znalazło się zaledwie mieszkanie o 5 pokojach, które pan starosta uznał jako niewystarczające. Życzliwa jakaś dusza przychodzi mu z pomocą i zwraca jego uwagę, że w sąsiedztwie zajmuje adjunkt sądowy Zborowski lokal o 4 pokojach, które można by z łatwością połączyć z mieszkaniem starościańskiem oczywiście, gdyby adjunkt zechciał swoje opuścić. Ale ten, żonaty także, potrzebuje mieszkania dla siebie, a innego niema. Jakaż rada? Prosta: przenieść adjunkta na inną posadę i koniec. W sądownictwie jednak nie idzie tak łatwo, jak u władz politycznych; musi być posada wolna, ogłaszają konkurs, trzeba się ubiegać wespół z innymi, którzy może są starsi i prędzej zasługują na udzielenie posady, niż p. Z. Panu Dunajewskiemu za długa cała ta historya. Wola adjunkta do siebie i poleca mu, ażeby wniósł podanie o posadę adjunkta przy sądzie krajowym w Krakowie. Niestety, ponieważ w owej chwili konkursu nie było, naczelnik sądu żywieckiego p. Seuchter zwraca mu podanie z uwagą, że nie może tego podania przedstawić władzy wyższej.

Tego już zawiele staroście. „Niech pan odda podanie na moje ręce, już ja to zrobię bez naczelnika, zobaczymy, kto wygra!“

Jak rzekł, tak się stało. Wygrał istotnie. W krótki czas potem przyszła dla p. Z. nominacya, a młody starosta cieszył się zwycięztwem — pierwszem prawdopodobnie na jego posterunku — no i gorąco upragnionem mieszkaniem.

Ale dyabeł nie śpi. Licho nadało, że *Nowa Reforma* skądś dowiedziała się o fakcie i całą sprawę wytoczyła przed forum publiczne w artykuliku p. t. „Pomieszczenie dla pana starosty.“ *Est modus in rebus* — *Reformę* za ten artykulik skonfiskowano. Byłaby na tem sprawa usnęła, gdyż inne pisma, nie chcąc zaznać losów *Reformy*, nie podniosły tego faktu, gdyby nie znalazł się w Radzie państwa poseł — oczywiście nie z ław polskich, bo któżby ministrowi rodakowi taką przykrość robił — niemiec, p. Steinwender, który zainterpelował na posiedzeniu parlamentu prezydenta ministrów i ministra sprawiedliwości o to, czy fakt opowiedziany miał miejsce, jak ministrowie potrafią go usprawiedliwić, czy i w jaki sposób zamierzają ukrócić podobne nadużycia.

Tu się zaczyna komiczna a zarazem smutna strona sprawy. Interpelant w kilkanaście dni otrzymał odpowiedź, ale jaką: oto o fakt samego nadużycia i rozmaite szczegóły niemiłe odpowiedź ta nawet nie potrąciła, a więc milcząco uznano, że rzecz tak się miała, jak doniosła *Reforma*; minister zaznaczył tylko, że przeniesiony urzędnik nie zyskał ani na płacy, ani na randze, a w myśl pewnego patentu cesarskiego można tak przenosić urzędników i bez konkursu — więc rzecz cała szła drogą legalną i prawidłową. Odpowiedź ta zadowoliła wszystkich, a jedno z pism (*Dzien. polski* w korespondencyi z Wiednia) zauważyło, że między posłami polskimi panowało oburzenie na śmiałka, który niesłusznie „krytym sztychem“ uderzył na ministra!

Najciekawsze przytem, że *Reformę* skonfiskowano po raz drugi za dosłowne powtórzenie tekstu interpelacyi, jakkolwiek w myśl ustawy prasowej sprawozdania z posiedzeń parlamentu nie mogą ulegać konfiskacie.

Czy potrzeba komentarzy do całej tej sprawy? Czy nie zaboli serce, że rzecz taka nie wstrząsnie apatycznem społeczeństwem, które samo sobie winno, że coś podobnego dziać się może? Czystego serca i czystych rąk, odwagi cywilnej, a żadnych względów, oto godło, którego nigdy dosyć często nie można powtarzać.

Leszek.

*) Dla należytego zrozumienia rzeczy wyjaśniamy, że Galicya pod względem administracyjnym podzieloną jest na 74 powiaty. Naczelną władzą rządową w powiecie jest starostwo — pierwsza instytucya w sprawach administracyjnych i politycznych. Drugą instancyą — namiestnictwo we Lwowie, zarazem naczelna władza rządowa w Galicyi; trzecią są ministerstwa we Wiedniu. Po ukończeniu studyów prawnych i odpowiednich egzaminach rozpoczyna się karyera urzędnika politycznego od stopnia „bezpłatnego praktykanta,“ co trwa 3 do 4 nawet lat, poczem praktykant taki dostaje t. z. adjutum (nie pensya!) 500 złr. rocznie i znowu kilka lat praktykuje, nim zostanie prowizorycznym koncepistą. Dalsze stopnie: koncepista, komisarz, sekretarz, starosta lub radca, na czem normalna karyera się kończy. W ministerstwach można iść do jeszcze wyższych rang. Zdolny urzędnik może zostać starostą po 20 do 25 latach służby (*przyp. kor.*)

KAMIEŃ WĘGIELNY.

O niecałe pół mili za Warszawą, w rozkosznem ustroniu leśnem bawił król polski.

A jest to dzień uroczysty.

Od rana już tłumy piesze i konne, kolaski i karoce podążają po za Ujazdów, w dolinę Starej łaźni, która odtąd zasłynie niby drugie Trianion, niby cichy a wspaniały zakątek, gdzie sprawowany monarcha ma używać złotych chwil wypoczynku i bawić się niezamąconym spokojem w gronie muz i bogiń, co zdobią czasy jego panowania.

Już na dwa dni przedtem służba królewska wyruszyła z całym komfortem, aby to ustronie leśne przeobrazić w jakiś bajeczny ogród hesperyd i uroczystości tej nadać jak najwspanialszą cechę.

Więc wśród zieleni leśnej świecą się jedwabiste namioty a na nich powiewają różnobarwne chorągwie z herbami paniąt i książąt. A w namiotach, wysłanych puchem i miękimi kobiercami, dostojne grono oczekuje uroczystej godziny, bo oto Jego Królewska Mość dopełnia ceremonii założenia kamienia węgielnego pod budowę nowego pałacyku.

I już nadjechał, już w około niego niby rój gwiazd w około słońca krąży tłum błyszczący płci obojej. Gwar, wesołość, dowcipy, wierszyki, epigramaty sypią się na wszystkie strony, bo wszak tu duszą zabawy są dwaj zapaśnicy parnasowi: pan Trębecki i pan Węgierski.

Pierwszy szczerozłotym rymem przygotował duszące kadzidło dla nozdrzy pańskich, porównywając go do najmędrszych i największych mocarzy świata; drugi z szczyptą gryzącej ironii wyśmiał jego kochankę i całą falangę pieczeniarzy.

Nic to jednak nie przeszkadza rozkoszować się obydwoma. Podniebienia ówczesne potrzebują rzeczy mocnych a pieprznych, było je podano z artystyczną zastawą. Dziwny wiek, dziwne czasy!

Podwójne oblicza zdają się nosić. Jedno ma maskę spiżową Rejtana, drugie trefnisia, kuglarza i opilcy.

Pod temi upudrowanemi głowami, w tych żabotach i koronkach kryją się lwy i lamparty. Nigdy namiętności nie wylewały się takim potokiem, druzgocąc i łamiąc wszelkie boskie i ludzkie prawa, jak w tych smutnych czasach... i nigdy też tylu Plutarchowych mężów nie liczyła Polska. Zdaje się, że oba krańce tak złej jak i szlachetnej natury ludzkiej mają się zetrzeć w pojedynku, którego ostatecznym wynikiem — zagłada.

Ale jeszcze ona nie tak blizka, jeszcze wiele i wiele tych głów i tych serc poić się będzie nektarem zapomnienia, zaślepienia... Będzie stawiać niebotyczne wieże na piasku, które jeden podmuch wiatru rozwali.

Słońce czerwcowe sieje złote blaski na całe te tłumy rozkoszne, uśmiechnięte, rozbawione... Po za namiotami służba królewska na otwartem powietrzu, w cieniu lip wonnych, zastawia stoły dla uczty, co się ma odbyć wśród uroczystości.

Król wszedł do namiotu, urządzonego na wyspie po wspaniałym moście w tem miejscu, gdzie ma stanąć nowy pałac. Towarzyszy mu książe podkomorzy i Elżunia, słodka Elżunia, która go obecnie uszczęśliwia, a dla której głównie ma powstać to rajskie ustronie.

W namiocie na stole królewskim leżą plany przyszłej budowy, wykonane przez

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Mowa Crispiego w Turynie, gdzie „przyjaciel“ Bismarka wyspowiadał się z celu swych odwiedzin, jest dotąd żyłowaną przez wszystkie dzienniki. Ciekawość zaostrza się nie do poglądów ministra włoskiego, ale do tajemnicy, czy w Friedrichsruhe ułożono plan wielkiej akcyi politycznej, czy też jedynie dano sobie buzi pokojowej. Crispi wykręcił się sianem ogólników o dobrych stosunkach, o układach, które nikomu nie grożą, o „wyświadczeniu usługi Europie“ itd. Tak on bał się wypuścić z ust niepotrzebnego słowa, że całą mowę sobie napisał i odczytał. Jakkolwiek obecni oklaskali ją rzęsiście, wątpimy, czy po niej są mędrsi, niż byli przed nią. Z zapewnień wyraźnych odznaczyć można dwa: wyparcie się nieprzyjaznych zamiarów względem Francyi i narad z kanclerzem niemieckim w sprawie papieskiej. „Dla nas kwestya rzymska nie istnieje“ — powtórzył kilkakrotnie Crispi. Watykan odpowiada, że to nieprawda, że w Friedrichsruhe o niej tylko mówiono, że cesarz Wilhelm pragnie ją co najprędzej rozwiązać. Jest to gadanina, obliczona na to, ażeby świat ciągle zajmować sprawą, którą on się mało zajmuje. Poprostu trudno uwierzyć, ażeby cesarz niemiecki zapałał taką gwałtowną chęcią zrobienia wygody Leonowi XIII, ażeby Bismark śmiał wtrącać się do działań rządu włoskiego. Watykan rozpuszcza plotki, bo niemi budzi dla siebie uwagę.

Prawica Izby francuzkiej, zaniepokojona groźbą ustąpienia Grevégo i możliwością przyjścia do władzy radykałów, przestała przypiekać p. Wilsona i usiłuje teraz przebiegowi śledztwa w procesie Caffarela nadać kierunek umiarkowany, niezwracający się bezpośrednio przeciwko zięciowi prezydenta, który znowu wraz z teściem domaga się ścisłego zbadania ciążących na nim oskarżeń. Chociaż mu wyborcy wypowiedzieli zaufanie, mandatu nie złożył, pragnąc przedewszystkiem oczyścić się z zarzutów. Czy wyjdzie z błota umyty — nie wiadomo, ale ma minę człowieka z czystem sumieniem.

Podpisana przez Anglię i Francyę umowa, poręczająca neutralność Kanału suezkiego, uważana jest jako doniosły krok ku zgodzie interesów obu tych mocarstw. Skutkiem licznych ustępstw W. Brytanii układ ten znaczniejszą korzyścią przechyla się na stronę Francyi. Porta nie zatwierdziła go jeszcze, ale pokiwawszy głową — podpisze. Następstwami zaś swemi wyprowadzi on niewątpliwie Egipt z pod wyłącznej zależności Anglii i na jej miejsce wprowadzi Europę. Podobno Niemcy, Austrya i Włochy dały również swe przyzwolenie.

Ani z Wiednia, gdzie zatarg czechów z ministrem oświaty trwa dotąd; ani z Berlina, gdzie choroba cesarza i następcy tronu stanowi troskę nieprzerwaną; ani z Londynu, gdzie rozruchy robotnicze i walka z Irlandyą sprowadzają do absurdu wsteczną politykę Salisburego; ani wreszcie z Bułgaryi, gdzie zamach na życie księcia koburskiego (dokonany przez waryata) zaprzątnął całą uwagę— nie otrzymujemy wiadomości donioślejszych. W całej Europie zapanowała znowu dusząca cisza, przerywana postrachami giełdy.

Artykuł *Kreuz Ztng*, wyszydzony przez prasę polską, dogryza jeszcze ruska. *Pet. Wiedom.* tak go objaśniają: „Na 15 października zwołane były do Poznania wiece narodowe, mające przedstawić rządowi nowe petycye o pewne złagodzenie środków, przedsięwziętych przeciwko ludności polskiej. Na jednym z tych wieców, mianowicie w Gnieźnie, między innemi miał być zredagowany protest przeciwko zakazowi wykładu w języku polskim w miejscowych szkołach ludowych. Podobne zebrania zwołane były także w innych miejscowościach, w Inowrocławiu, Wągrowicy itd. a wogóle w działalności polskich przywódców, od pewnego czasu daje się zauważyć pewne ożywienie. Ażeby sparaliżować nieco to ożywienie, wypuszczono, jak się domyślać należy, z Berlina ten potworny balon próbny z szumnemi zapowiedziami „przywrócenia Królestwa.“ Ale balon pękł, jak wiadomo, wcześniej niż się spodziewano i nawet najbardziej nieprzejednani zwolennicy idei jagiellońskich tym razem nie okazali się tak naiwnymi, jak mniemano w biurze redakcyjnem kanclerskiego półurzędowca.“

Wywody *Wil. Wiestn.* ściągają na siebie dalej gromy. Z kolei daje mu naukę *Kijewlanin*. „Przedewszystkiem—powiada on—razi uszy fałszywy ton artykułu. „Rosya nie przeszkadzałaby wcale politycznej samoistności Polski;“ „Rosya nie jest przeciwniczką odbudowania Polski,“ itp. Któż to przemawia w imieniu Rosyi z taką pewnością siebie? Rosya oczywiście nie udzielała pełnomocnictwa *Wil. Wiestnikowi* do takich wyjaśnień i zgoła nie objawiała swojej z nim solidarności. Jeżeli zaś są to nieoparte na niczem przypuszczenia gazety wileńskiej — należało je w daleko skromniejszej wypowiedzieć formie... Są to czcze i puste gadaniny, nic wspólnego niemające z zamiarami naszego rządu, dość wyraziście uwydatniającymi się w całym szeregu faktów, i również nic spólnego niemające z poglądami ludzi naszego pochodzenia.“

Za jeden z takich faktów uważać można kierunek działalności przyszłego Banku włościańskiego, któremu *Pet. Wiedomosti* zakreślają następujące zadanie: powinien on „stać się ogniskiem ruskiej polityki ekonomicznej na kresach, zmienić tam istniejące dziś stosunki i powołać włościan, uciekających z powodu ciasnoty ze środkowych gubernij Rosyi — oto główne jego cele.“ „Polityka włościańska Banku — mówi dalej ten dziennik — z konieczności rozpada się na dwie części: polski bowiem, litewski i białoruski włościanin z jednej strony, oraz przybyły z wewnętrznych gubernij Rosyi—potrzebować będą niejednakowej opieki. Dość pokazać pierwszym, iż nietylko politycznie, lecz i ekonomicznie zależą od Rosyi i że nie od sąsiedniego pana, żyda lub kolonisty niemieckiego mogą oczekiwać pozyskania ziemi. Co zaś do drugiego, to samo się przez się rozumie, iż opieka powinna być zdwojona, ponieważ owi pionierowie sprawy ruskiej walczyć będą musieli nie na żarty z połączoną nienawiścią polsko-niemieckiego elementu. Jeżeli już mamy zaczynać kolonizacyę ruską, to nie na to chyba, abyśmy mieli oddawać naszych włościan w sieci pierwszego lepszego polityka; tu powinny być i środki energiczne i energiczni wykonawcy.“

---

najbieglejszych mistrzów, które dopiero po ceremonii oglądać będzie wolno.

Tymczasem skromną kałamaszką wjechała do parku postać niepozorna, skrzywiona, ze śladem jakiegoś zmęczenia na licu i trosk przebytych, z portfeilem pod pachą.

Wysiadła i wprost do namiotu królewskiego spieszy.

To pan Deboli, wierny sekretarz króla Jegomości, któremu wstęp zawsze i wszędzie dozwolony, bo król pan jest tak czynny i gorliwy, że nawet wśród zabawy o sprawach państwa myśleć nie przestaje.

Więc i tu Deboli rozłożył portfeil i co ważniejsze papiery kładzie przed monarchą.

Król wziął jeden z nich, przeczytał, czoło mu się zmarszczyło, po twarzy przykry, pełen goryczy uśmiech się przemknął. Opuścił rękę z papierem, potem go znów odczytał, wreszcie zmiął w ręku, rzucił na ziemię i wybiegł z namiotu, jakby chciał powietrza zaczerpnąć.

Troskliwe oko kochanki bacznie śledziło króla. Po jego odejściu przeczytała papier leżący na ziemi. Zapłonęła gniewem, potem wybuchła.

— To niegodne! nikczemne! — a zwracając się do Debolego, który spokojnie stał za stołem, rzuciła gniewnie: — Jakże można było ten szpargał przynieść tu dziś i w takiej chwili?

— To nie szpargał — rzekł Deboli sucho — to naga rzeczywistość, to przestroga.

— Oh ci pedanci! — rzekła z pogardą i wybiegła za królem.

* *
*

Ów nieszczęsny papier, było to wezwanie gubernatora Galicyi do Stanisława Augusta Poniatowskiego, aby do dnia 20 grudnia wykonał homagialną przysięgę nowemu panu, pod którego panowaniem dobra jego zostają po pierwszym rozbiorze.

Ceremonia się odbyła, ale zauważono, że król pan trzymał kielnię bardzo drżącą ręką.

Wincenty Rapacki.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZED PÓŁ-WIEKIEM A DZIŚ.

II.

Jaką była suma ogólnej wytwórczości przemysłu i rękodzieł Królestwa, szczegółowo ocenić trudno. Na wywóz produkowano nadzwyczaj mało, a wykazy statystyczne z lat tych bardzo niedokładne, ścisłych nie pozwalają wyciągnąć wniosków. To też polegać musimy na zdaniu niektórych ekonomistów, oceniających tamtoczesną produkcyę Królestwa na 18 do 20 milionów rubli. I tu jednak zastrzedz się należy przeciwko wysokości tej cyfry ze względu, że włączono do niej wywóz niektórych tkanin i przędzy do Cesarstwa, przechodzących przez Królestwo *transito*, czemu sprzyjała taryfa celna, ustanawiająca od towarów zagranicznych cła bardzo umiarkowane dla Królestwa, gdy jednocześnie Cesarstwo miało ogólną taryfę celną ochronną. Tak np. tkaniny zagraniczne, których przywóz do Rosyi był albo wzbroniony zupełnie, albo cło na nich nałożone tak wysokie, że równało się wzbronieniu, te same tkaniny przechodziły z zagranicy do Polski albo za opłatą bardzo małego cła, albo bez żadnej dopłaty, a opatrzone świadectwami swego polskiego pochodzenia miały prawo przekroczenia granicy rosyjskiej po opłaceniu tylko 3% cła (a wyroby wełniane — 1%).

Chociażbyśmy jednak cyfrę 20 mil. rs. przyjąć mieli za sumę wytwórczości rodzinnego przemysłu, brak najważniejszych fabryk, przerabiających bogactwa przyrodzone kraju, najlepszem będzie świadectwem ubóstwa naszego. Górnictwo, mające tak obszerne pole eksploatacyi, niedołężnie prowadzone, na miano wielkiego przemysłu nie zasługiwało; fabryk płótna, wyrobów bawełnianych nie było, fabryki sukna, garbarnie, tartaki, zakłady stolarskie itp. w najpierwotniejszy sposób urządzone do wzrostu ekonomicznego przyczyniać się nie mogły.

Lata, z których sprawozdanie niniejsze podajemy, były epoką wielkiego przełomu w naszym przemyśle, bo od nich datuje się jego rozwój, który początkowo wolny,

stopniowy, w ostatniem dwudziestoleciu przybrał rozmiary znaczne i niespodziewane.

Głównym powodem, sprzyjającym wzrostowi przemysłu, były trzy czynniki, kolejno wpływające na jego powodzenie: prawo z 1820 r., zapewniające przywileje fabrykantom cudzoziemcom, powołanie do życia Banku Polskiego, który niespożyte usługi dla przemysłu naszego położył, obniżenie się kursu monety po wojnie rosyjsko-tureckiej i polityka silnie protekcyjna, jaką państwo w ostatnich czasach przyjęło. Pośrednio czynnikiem dobroczynnym było zniesienie w 1850 r. granicy celnej między Królestwem a Cesarstwem i ustanowienie cła różniczkowego, t. j. ceł niższych dla towarów przez granicę lądową dostarczanych a wyższych dla przywożonych morzem. Zwłaszcza podczas kampanii krymskiej, gdy w skutek blokady handel morski zupełnie został przerwany, bawełniany i wełniany przemysł polski znacznie się rozwinął.

Przyjrzyjmy się jednak cyfrom, które poniżej uwidocznią nam postęp ekonomiczny kraju.

Pierwiastkowo najbardziej podnosić się zaczęły fabryki sukna. Skutkiem zniesienia konwencyi między Prusami a Rosyą, według której pierwsze z tych państw miało prawo przewożenia przez Rosyę sukna do Kiachty, w 1825 powstały w Kaliszu fabryki sukna (Fiedler, Rephan i in.). W ciągu lat sześciu wywóz sukna z Polski do Kiachty przedstawia następujące cyfry: w 1824 r. 331,000 rs., w 1828 już 1,025,000 rs. a w 1830 dosięga 1,070,000 rs.

Przyrost fabrykacyi bawełnianych od 1856 do 1860 wynosił 11,6%, dla fabryk farbiarskich i drukowania perkali w tymże okresie czasu 9,4%.

Przemysł wełniany w 1850 r. wyprodukował towarów na 2,564,000 rs., w 1860 już na 4,354,000, bawełniany w 1850 r. dał wyrobów za 2,673,000 rs. zaś w dziesięć lat później podniósł się raptownie o 300%, produkując za 8,091,000 rs. towaru!

Według najwiarogodniejszych źródeł w dwudziesto-pięcioleciu 1857 — 1882 r. wytwórczość Królestwa zwiększyła się o 3 do 4½ razy, a w epoce tej do pomyślności jego nie mało się przyczyniły koleje żelazne, budowane w bardzo prędkim czasie i równie szybko rozpowszechniające wyroby naszego przemysłu.

Najbardziej jednak uderzającemi są cyfry ogólnej produkcyi przemysłowo-fabrycznej Królestwa między 1857 a 1884 rokiem. Według Załęskiego w 1857 cały przemysł fabryczny w Królestwie wynosił 53 miliony rubli; w 1872 wartość wyrobów wszystkich fabryk i zakładów przemysłowych dosięgała już 106 mil. rs. a więc podwoiła się; w 1879 według cyfr urzędowych, było w Królestwie Polskiem 6,627 fabryk, których wytwórczość przewyższała 118,000,000 rs., w 1882 r. mamy 7,060 fabryk z wytwórczością 153,000,000 rs., a choć w 1884 liczba fabryk obniżyła się do 6,580, za to produkcya ich była znacznie większa, bo 191,851,000 rubli.

Dwieście milionów rubli produkuje Królestwo, to cyfra imponująca w porównaniu do skromnych rezultatów, jakie przed pół wiekiem widzieliśmy. Wprawdzie zasługa w tem nie nasza wyłącznie, bo taka Łódź z okręgiem o 55 mil. rubli produkcyi, Sosnowice, które z dobywania rudy i węgla kamiennego mają dochodu 12 mil. rubli, nie mogą być uważane za ogniska ściśle polskiego przemysłu, ale część tej produkcyi spoczywa w ręku tuziemców, reszta zaś choć pośrednio na dobrobyt ekonomiczny kraju wpływać musi.

Porównawcze zestawienie przemysłu w 1821—1823 r. z obecnym dostatecznie objaśnia olbrzymi postęp, jaki kraj na tej drodze zrobił. Tu zaliczamy: cukrownie, przemysł żelazny, fabryki machin, stali, relsów kolejowych, fabryki wyrobów bawełnianych i wełnianych, browary, fabryki wyrobów chemicznych, wyrobów z nowego srebra i bronzu, fabryki cementu, gipsu, drukarnie, litografie, wyroby pończosznicze, farbiarnie, apretury, meble gięte, wstążki, dżety, igły, guziki, zapałki, cerezyna i parafina, a po nad niemi kopalnie węgla kamiennego, stanowiące źródło świeżego a ogromnego bogactwa.

Nie mamy zamiaru szczegółowo rozpatrywać się w olbrzymim materyale, jaki daje historya naszego przemysłu w ciągu pół wieku; chcieliśmy tylko z okazyi wspomnienia o wystawach warszawskich w 1821 i 1823 roku zaznaczyć skok wielki, dokonany w ciągu lat 50. Od wyrobów pierwotnych i nędznych przeszliśmy do udoskonalonej fabrykacyi; zamiast posiłkowania się pomocą zagranicy—wytwórczość rodzima, zaspakajająca potrzeby miejscowe i eksploatująca 50% swej produkcyi w niektórych gałęziach przemysłu; wreszcie w miejsce 20-tu, *dwieście* milionów produkcyi, oto, co nam przyniosło pół wieku minione.

R.

BADANIA NAUKOWE.

FIZYOLOGICZNA TEORYA UCZUĆ.

II.

Tak tedy cztery są momenty rozwoju uczucia:

a) Przykrość ujemna, gdy przyrost siły większym jest od poprzedzającego jej zużycia.

b) Przyjemność dodatnia, gdy zużycie siły odpowiednie jest jej przyrostowi.

c) Przykrość dodatnia, gdy zużycie siły przekracza jej przyrost.

d) Przyjemność ujemna, gdy przyrost siły odpowiada jej zużyciu.

Taka jest ostateczna przyczyna uczucia i jego warunki. Jakaż jest rola uczucia w głównem zadaniu życia, które, według biologii, polega na przystosowaniu stosunków wewnętrznych do zewnętrznych i odwrotnie — stosunków zewnętrznych do wewnętrznych?

Przekonaliśmy się z powyższego, że uczucie jest współczynnikiem świadomości spraw czysto fizyologicznych. Przyjemność oznacza harmonię między zużyciem siły w tkankach organicznych, a jej nagromadzeniem; przykrość — dysharmonię. Uczucie więc tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku wyraża stosunek, jaki zachodzi między stanem organu lub organizmu w danej chwili, a ich stanem poprzedzającym. Jest ono tedy miarą, oceną stosunków wewnętrznych, tak jak poznanie jest oceną stosunków zewnętrznych. Jest ono podmiotową stroną poznania, które ma przeważnie charakter przedmiotowy.

Ocena stosunków wewnętrznych dokonywa się bezwiednie, świadomym staje się dopiero jej wynik, którym jest uczucie przyjemności lub przykrości. Będąc bezwiedną, jest ona nadto względną. Miarą bowiem oceniania stosunków wewnętrznych nie jest jakaś norma absolutna tych stosunków, tkwiąca w umyśle, ale stan organu, poprzedzający jego czynność.

Stosunki zewnętrzne, wywierając działanie na organizmie żyjącym za pośrednictwem zmysłów, wywołują w nim pewne wrażenia, które z kolei stają się powodem uczuć przyjemnych lub przykrych stosownie do tego, czy zostają one w harmonii, czy w dysharmonii z danym stanem organu, który te wrażenia odbiera. Doznane uczucie, będące podmiotową stroną wrażenia zmysłowego, pobudza organ i organizm do oddziaływania na otrzymane wrażenie, a zarazem wskazuje kierunek, w jakim to oddziaływanie ma być uskutecznione. Uczucie przyjemne nadaje kierunek oddziaływaniu, którego celem jest zatrzymanie, utrwalenie stosunków zewnętrznych, sprawiających przyjemność; przeciwnie uczucie przykre staje się pobudką do działania, które ma na celu usunięcie i zabezpieczenie się od stosunków zewnętrznych, wywierających przykre wrażenie.

Uczucie przeto w głównem zadaniu życia, przystosowywania się organizmu do otoczenia, jest regulatorem czynności, które to przystosowywanie się ma na celu. Oznaczając zgodność lub niezgodność warunków otoczenia z wewnętrznym stanem organizmu, wytwarza ono w nim pobudki do tego lub innego działania, bez względu, czy to działanie będzie prostym odruchem, czy czynnością zamiarową. Uczucie, z tego stanowiska rozważane, jest ogniwem łączącem poznanie z wolą, jest drugim momentem w rozwoju życia umysłowego — i dlatego, o ile wyrobienie woli zależnem jest od rozwoju uczucia, o tyle rozwój tego ostatniego uwarunkowany jest rozwojem myślenia.

Powiedziałem wyżej, że przyjemność i przykrość są pierwotnymi faktami świadomości, niedającymi się rozłożyć na pierwiastki prostsze. Pod względem jakości, każda przyjemność, zarówno jak i przykrość, są podobne do siebie i tężsame. Wszelkie różnice, pomiędzy niemi zachodzące, są czysto ilościowe, różnice natężenia. Jakościową zaś barwę swą zawdzięczają wrażeniom zmysłowym, z któremi zespalają się tak ściśle, że ich niepodobna oddzielić od nich. Ze względu na ową barwę wrażeniową można wszystkie uczucia pierwotne podzielić na klasy, których jest tyle, ile osobnych czynności organicznych, albo też, co na jedno wyjdzie, ile jest osobnych wrażeń zmysłowych. Wszelkim bowiem czynnościom organicznym towarzyszą oddzielne wrażenia zmysłowe. Sprawy organiczne rozpadają się na dwie grupy: sprawy życia roślinnego i zwierzęcego. Do pierwszych należą: obieg krwi, oddychanie, trawienie i wydzielanie wraz z funkcyą płodzenia; do drugich: ruch, wrażenia zmysłowe, podmiotowa czynność świadomości (uczucia, chęci, pragnienia) i przedmiotowa jej czynność (poznanie). Charakterem wszystkich pierwotnych uczuć jest naprzód to, że są one uczuciami pierwszemi, a więc rzeczywistemi; powtóre, że są pozbawione wszelkiej świadomości zewnętrznej swej przyczyny. Z tych dopiero pierwotnych powstają uczucia i wzruszenia, dostępne obserwacyi, znane nam z osobistego doświadczenia i przedstawiające w swych poszczególnych objawach tyle różnic, ile jest osobników. Że wszystkie te uczucia i wzruszenia, nawet najbardziej idealne, z pozoru niemające nic wspólnego z fizyologicznemi sprawami organizmu i z odnośnemi wrażeniami zmysłowemi, są faktami świadomości złożonymi, których rdzeń zawiązek stanowią uczucia pierwotne, zespolone w jedną całość—przekonywa o tem analiza psychologiczna. Potrzeba nam przeto poznać, w jaki sposób złożone uczucia powstają z pierwiastków, które w nich wykrywamy drogą analizy; potrzeba nam poznać prawa syntezy uczuć.

Prawa te są te same, jakim podlegają wszystkie wogóle zjawiska umysłowe w swym rozwoju, a mianowicie: całkowanie (integracya). Pierwsze dokonywa się za pomocą kojarzenia (asocyacyi), drugie— za pomocą dysocyacyi.

Stopnie złożoności uczuć są różne, stosownie do ilości różnorodnych pierwotnych, które w ich skład wchodzą. Oznaczyć stopień złożoności danego uczucia, czyli rozebrać go na składowe pierwiastki, nie jest rzeczą łatwą. To też analiza, pomimo cennych pod tym względem usiłowań Baina i Horowicza, pozostanie tu na długo jeszcze zadaniem, którego spełnienie może być dokonane tylko zbiorową pracą wielu psychologów. Bądź co bądź, pewnem jest, że wszystkie uczucia w obecnym stanie ludzkości są w wysokim stopniu złożone i że

zanim doszły one tej złożoności, musiały przebywać po kolei stopnie pośrednie, zaczynając od złożoności pierwszego stopnia.

Stopniowy rozwój uczuć pod względem złożoności da się przedstawić w sposób następujący: uczucie pierwotne, raz doznane i zapamiętane, kojarzy się z nowem tego samego rodzaju. Staje się ono w ten sposób głębszem i wyraźniejszem. Jednocześnie kojarzy się z postrzeżeniem i staje się przez to świadomem swej zewnętrznej przyczyny. Uczucie wzmocnione i uświadomione co do swej przyczyny kojarzy się następnie z podobnem innego rodzaju i wytwarza skupienie uczuć, które, odpowiadając konkretnym przedmiotom, kojarzy się z ich wyobrażeniem. Tą samą drogą powstają skupienia uczuć bardziej złożone, skojarzane z pojęciami najoderwańszemi, a nawet z sądami i wnioskami rozumowymi. W ten sposób powstają uczucia idealne, w których zatraca się wszelki ślad ich zmysłowego pochodzenia.

Procesowi całkowania uczuć towarzyszy ich różniczkowanie. Ażeby to samo pierwotne mogło wejść w skład kilku złożonych, musi ono uprzednio wystąpić ze skupienia, w którem pierwotnie się znajdowało. Również uczucie złożone przenosząc się z jednego przedmiotu na drugi, do pierwszego podobny, musi się oderwać od skojarzenia z danym przedmiotem i zespalając się z dwoma lub więcej, odpowiada różnicom, jakie w tych przedmiotach znajdują się. Kojarząc się następnie już nie z przedmiotami indywidualnymi, ale z ich gatunkami, a następnie ze stosunkami rzeczy, stają się uczuciami coraz bardziej w sobie zróżniczkowanemi.

Klasyfikacya uczuć złożonych, bez względu na stopień ich złożoności, daje się przeprowadzić na tej samej podstawie, na jakiej oparta była klasyfikacya uczuć pierwotnych.

Do pierwszej klasy należą uczucia dodatnie i ujemne, związane z przedmiotową czynnością świadomości, czyli z poznaniem (nudy, nowość).

Do drugiej — uczucia dodatnie i ujemne, związane z podmiotową czynnością świadomości (melancholia, zadowolenie).

Do trzeciej — te, które się łączą z czynnością ruchu (uczucie bezczynności, siły).

Do czwartej — łączące się z czynnością postrzegania zmysłowego (oczekiwanie, zdziwienie).

Do piątej — związane z zetknięciem się organizmów (smutek, miłość).

Do szóstej — związane z czynnością trawienia (gniew, zemsta, pobłażanie).

Do siódmej—łączące się z czynnością oddychania (strach, nadzieja, rozpacz).

Do ósmej — związane z obiegiem krwi (smutek, wesołość, apatya).

Dodać w końcu należy, że między uczuciami złożonemi są jedne, które mają charakter spokojny: inne zaś burzliwe. Te ostatnie nazywamy wzruszeniami.

Taka jest w najogólniejszym zarysie fizyologiczna teorya uczuć. Ostateczną jej formę, jak nadmieniłem, nadał p. Grot. Podając ją, nie rości on bynajmniej pretensyi do oryginalności. Wyznaje otwarcie, że podstawa jej wykryta była już przez Arystotelesa, że w oddzielnych swych częściach opracowaną jest dokładnie przez Spencera, Dumonta, Horowicza, że cała jego zasługa polega na połączeniu pierwiastków gotowych, obrobionych w jedną całość systematyczną, opartą na zasadzie, której mu dostarczyła współczesna fizyologia. Jeżeli w jego dziele jest co oryginalnego, to mianowicie klasyfikacya uczuć, jedyna, która odpowiada wymaganiom logicznym.

Teorya ta, jak sam autor powiada, nie jest wykończona zupełnie we wszystkich swych częściach. Przekonany on jest, że bardzo wiele w niej jest braków i niedokładności: z tem wszystkiem wierzy, że w podstawie swej jest ona niezachwianą i zawiera w sobie wszystkie wskazówki, któremi kierować się muszą późniejsi badacze, pragnący wyjaśnić zawiłe zjawiska uczuć. Jakoż, jeżeli porównamy teoryę autora z teoryami uczuć, jakie znajdujemy u Baina, Spencera, Wundta itd. musimy wyznać, że jest ona najwszechstronniejszą i najbardziej racyonalną. Sprowadza ona wszystkie objawy uczucia do jednej zasady, z której logicznie dadzą się wyprowadzić różnorodne prawa, jakiemi w różnych czasach rożni psychologowie starali się wyjaśnić powstawanie i objawianie się uczuć.

Władysław Kozłowski.

HISTORYA.

Lucyan Tatomir. *Król Kazimierz Wielki i Mikołaj Wierzynek.* Życiorysy historyczne. Warszawa, Paprocki, 1888. 8-o str. 121.

Opowiadanie o Wierzynku ogłosił p. Tatomir (p. t. *Mieszczanin krakowski z XIV w.*) we Lwowie 1861, o królu Kazimierzu tamże w 1868 r.; obecne przeto wydanie jest przedrukiem, chociaż o tem okładka milczy. Nie mając wydań pierwotnych pod ręką, nie umiemy powiedzieć, czy i ile do tej edycyi autor wprowadził nowego; pewnem jest jednakże, że nie korzystał z prelekcyi Szujskiego, wygłoszonej w r. 1875 we Lwowie (*Charakterystyka Kazimierza IV*), ani najgruntowniejszej pracy o królu Kazimierzu, z dzieła senatora Hubego p. t. *Prawo polskie w XIV w.*

P. Tatomir należy do liczby tych nielicznych u nas popularyzatorów historyi, którzy znają się na nauce i nie popełniają w wykładzie błędów. Spotykamy się wprawdzie na koronacyi Kazimierza z biskupem lubelskim (str. 28), którego w tamtych czasach nie było; jest to jednak prawdopodobnie taki błąd zecerski, jak zawiązanie w roku 1362 przymierza w *Petersburgu*, zamiast w *Presburgu* (88). Badania Hubego zachwiały hipotezę Helcla o wspólnym dla całej Polski statucie z r. 1368 (str. 78); wątpliwe są „pierwsze dowody męztwa“ Kazimierza pod Głowcami (25), skoro, jak to dobrze skądinąd wiadomo, uciekł z pola bitwy haniebnie. Że w XIII wieku „rozerwaną Polskę reprezentował na zewnątrz jako całość jeden tylko arcybiskup gnieźnieński“ — to prawda; żeby jednak kościół „grozą ciskanych klątw“ zażegnywał walki ówczesne (str. 6) — zgodzić się trudno, skoro sami biskupi, i oni przedewszystkiem, rozdmuchiwali burze. Gdy autor nazywa raz Wacława czeskiego „uzurpatorem“ (3), w innem zaś miejscu zaznacza, że wielkopolanie „powołali“ go na tron (13) — spostrzegamy w tem sprzeczność. Właściwiej by też było zaznaczyć, że urządzony przez Bonifacego VIII w r. 1309 jubileusz był raczej przygotowaniem do walki przeciwko Filipowi Pięknemu, niż uwieńczeniem zwycięztw papiezkich nad Hohenstaufami (1).

Całość opowiadania wydaje się nam za rozwlekłą, razi też w niem niewymierność części składowych. Trzy rozdziały wstępu do Kazimierza — to trochę za dużo; wplecenie w tok opowiadania osobnego, a hazardownego pod względem wywodów historycznych rozdziału o Rusi Czerwonej (VI) nie wydaje się nam także szczęśliwem.

Pomimo to, opowiadania p. Tatomira pełne są zalet i czytane być mogą przez szersze koła publiczności z korzyścią. Pociągają one żywością obrazowania i poprawnością języka, chociaż takich wyrazów, jak „przedłożyć,“ „czestne“ (poczesne), „dzieć,“ „nowizna,“ wolelibyśmy nie czytać.

Sm.

LITERATURA I SZTUKA.

WSZECHPOEMAT.

II.

Dziwił się twórca *Fausta*, że zrównoważony duch jego mógł zrodzić tak ponurego fantastyka, jak Byronowski *Manfred* i ową przemianę nazwał hypochondryczną. Szczególnie znamienny to objaw dla epoki; ale i zdumienie Goethego i mniemana chorobliwość jego naśladowcy dziś już nie potrzebują klucza, bo nie są zagadkami. Burzliwy poeta dziewiętnastego wieku, choć karmił się również obficie chlebem klasycznym, miał być nie odrodzicielem ideałów greckich, lecz namiętnym, wiernym synem swego czasu i zwiastunem całego szeregu pokrewnych sobie i nowych zupełnie pokoleń. Miała zaświtać doba głębszego samopoznania, zawziętszych walk o niepodległość uczucia, gorętszych pogoni za złotą gwiazdą szczęścia — więc apostoł wyssał z wieszczb swego poprzednika nie słodycze, lecz jady, wyciągnął z *Fausta* same gorzkie pierwiastki i pełne ich kielichy podnosił do ust swoich i cudzych... Może to i była choroba nerwów, ale nie osobista lecz powszechna, może to była gorączka, ale jej brednie to najcudniejsze kwiaty refleksyjnej poezyi. Ogarnęła ona świat cały i teraz jeszcze ponętnymi więzami skuwa. Zresztą nie wina to człowieka, który czar zasiał, ale ludzkości, że w bolesnych swych przejściach takie gniewne jęki z łon wyrywa.

Tak, *Manfred* w rzeczy samej niektórymi rysami bliźniaczo przypomina *Fausta.* Od niego pożyczył fizyognomię mędrca, samotne dumania filozofa, który widzi, że promień jego wiedzy nie sięga daleko, za nim powtarza skargi na nieudolność nauki — ale to tylko szata zwierzchnia. Pod nią kryje się prawdziwy król stworzenia, dumny rozkazodawca duchów, choć na pozór ich poddany. I to jeszcze Faust, ale — *quantum mutatus ab illo!* Tamten pyszni się opieką bóstwa, ten depcze wszystkie potęgi, w swym bólu jest nieprzejednany. Tamten — debiutant w przeczeniu, prawie że dobry chrześcianin. Ten już na poły zbuntowany Prometeusz, wprawdzie więcej przygnębiony, niż hardy, ale zawsze większy w poczuciu swego „ja.“ Ma siłę umrzeć i śmierci odważnie spojrzeć w oko pomimo przeszkód, gdy czuły gach Małgosi rozrzewnia się odgłosem świątecznych dzwonów...

Jeżeli więc wspaniała tragedya Goethego przemawia hymnem na cześć wielkości ludzkiej — *Manfred* obok całej niższości artystycznej przemawia dobitniej, bo w nim ideał niepodległy o całe niebo posunięty wyżej.

Jeżeli wabi widokiem katuszy bytu — w *Manfredzie* ten sam dramat jest grozą — nie pieści ale przestrasza, nie zamienia się w sielankę miłosną, ale z dziką, urągającą wszelkiej słabości konsekwencyą, kładzie kres istnieniu.

Ktoś słuszną uczynił uwagę, że bohaterowie Goethego są słabsi od swego piewcy i wskazywano za dowód na Werthera, którym rzeczywiście był kiedyś sam Goethe; a postacie Byrona o wiele silniejsze od niego. Tkwi w tem głęboka prawda, albowiem autor Manfreda w nim, jak i w Korsarzu, w Giaurze i wszystkich swych wybuchach zemsty i wściekłości nadrabiał męztwem i miną, która w praktyce często bardzo bywała rzadką i niepewną. Bądź co bądź jest to cecha charakterystyczna byronizmu, że imponuje siłą i butą, niekiedy nawet z uszczerbkiem dla filozoficznej głębi. Faust daleko więcej uderza uczonością, daleko umiejętniej symbolizuje to, co nniemy zwą „duchem-szperaczem“: widać, że to z krwi i kości myśliciel-metafizyk, doktor i alchemik. Takiego też chciał stworzyć poeta ger-

mański i dlatego postawił obok niego tępą, ciasną i płytką sylwetkę Wagnera.

Genialny ten kontrast stał się przysłowiowym, trafił do przekonania całej arystokracyi ducha i należy do najlepszych cząstek idei Faustowskiej. Ale i on miał być wkrótce prześcignionym w dosadności i przekonywającej mocy. Narodziło się wielkie misteryum *Kain* i wnet sprzeczność natury głębokiej, krytycznej, wiecznie niezadowolonej — z naturą poczciwą, cieszącą się dobrym snem i apetytem, zawsze kontentej z siebie i powierzchownej, ujęty został w symbol szerszy i pełniejszy. Faust i Wagner—to typy uniwersyteckie, Kain i Abel—to typy uniwersalne — oto maleńka różnica... Synów Adama dzieli już nie różnica zdolności, kwalifikacyj naukowych i filozofii życia, ale daleko wszechstronniejsza, rdzenniejsza, bo nietylko umysłowa, ale i moralna. Jeden wielbił dzieła stwórcy, jako dary, drugi krytykował i przeklinał jako klęski. Jeden widział we wszystkiem dobroć i ład, i logikę — drugi nieusprawiedliwioną surowość, nierząd etyczny i bezmyślność. Pierwszy nie stanowi bynajmniej karykatury mędrca na wzór Wagnera, ale realną, dodatnią nawskróś jednostkę, tylko na szczęście swe ślepą i bierną. Kain i Lucyper wzajem się dopełniają i składają na wcielenie spokojnej, melancholijnej, trawiącej duszę i ciało zadumy. Kto chce wyobrazić sobie orła i osła *niemieckiego*, niech spojrzy w portrety Fausta i Wagnera; kto pragnie widzieć prawdziwą wielkość umysłu i czucia obok ograniczoności Benjaminka, tak ażeby uzmysławiały kontrast *ogólno-ludzki*— niech się rozczyta w genialnej parafrazie piewszej zbrodni. Znajdzie w niej zresztą artyzm i psychologię, których by się nie powstydził Shakespeare.

Kaina nie opływają już mgły fantastyczne. Poeta nie ściągnął w nim cudów na ziemię, lecz sam wzniósł się w przestworze kosmosu i poematowi wszechświatowy dał charakter. Gdyby nie profanował legendy biblijnej, usprawiedliwiając zabójstwo Abla, byłby może niezrównanie to dzieło zpopularyzował, jak Goethego swą tragedyą.

W umysłach analitycznych posiew Kaina wydał obfity owoc. Był współcześniejszym, wolnym od osłonek romantycznych i milej dla gawiedzi scenetyi czarodziejskiej. Był wierniejszem odbiciem nurtujących Europę prądów; nasiąknął wszechbólem etycznym, rzekłbyś, przeczuł, iż niezadługo rozigra się na ziemi walka nędzy ze zbytkiem i wyzyskiem, demaskował bezlitośnie świętości, dotąd bałwochwalczo czczone, sądził to, czego sądzić nie było wolno i nie było we zwyczaju — słowem otworzył na oścież wrota—pesymizmowi.

Nie tu miejsce kreślić koleje poezyi i filozofii rozpaczy. Wiedzą wszyscy, jak nieprzejrzany chór płaczków wydała i wszystkich ich potrosze mają. Kto jednak wejrzał głębiej w przyczyny, w wypadki, co tak smutno nastroiły głównych bardów cierpienia: Leopardiego, Heinego, Lenaua, Ackermanową i wielu innych, pojmie, że były to niedole pochodzenia ziemskiego. Choć same do tego się nie przyznają, zawsze można je prostą drogą sprowadzić do ucisku państwa, fanatyzmu kościoła, niedołęztwa w rządzeniu i tym podobnych bolączek, do ogólnej zresztą ciężkości powietrza, jaką poprzedza zawsze, wykłucie się nowych dążeń i nowych potrzeb. Tym sposobem zwątpienie, które w piersi Fausta zagościło na chwilę — po nim znalazło śpiewaków szerszych i bardziej do tego powołanych. Co więcej, ze sfery oderwań przeszło w dziedzinę spraw życiowych, pragnień społecznych i państwowych, czyli inaczej odezwało się głosem donośniejszym i... świeższym, poruszyło nie samych tylko filozofów — ale cały ogół „cierpiących za miliony.“ Apatya i zniechęcenie — drugi tego samego rodzaju rys Fausta — już nawet bez żądzy użycia zmysłowego rozpostarły się po literaturze i jak lawa kraterami wybuchły w Rolli, Child Haroldzie, Bohaterze naszych czasów, Eugeniuszu Onieginie, którzy dotąd jeszcze nie wyszli z mody, a byli najsmaczniejszą strawą oświeconych kół, najbardziej inspirującym motywem powieści i liryki.

Jak gdyby konkluzyą utraty tylu ideałów ostateczną jest urągający wszystkiemu djabeł-kuternoga. Dawniejsze przebłyski negacyi, począwszy od tak chwiejnych jak Hioba, a kończąc na tak czelnych jak proroka osiemnastego wieku — Wolterze, zebrały się w jedną masę i wydały Mefistofelesa. Ani przed Goethem, ani współcześnie z nim nikt się nie zdobył na tak skończone upostaciowanie złego. Lucyper Byrona wygląda obok niego, jak zasmucony anioł, kochający ludzkość i nienawidzący Boga jedynie z pobudek szlachetnych. To czarujący cherub — tak jak surowym, niepodległym purytaninem jest szatan Miltona, który powagą swą i grozą przypomina ujemne potęgi w religiach wschodu. Jeden i drugi są raczej dodatnim patosem, niż szydercem przeczeniem. Tylko Mefisto wzorowany na wyobrażeniach średniowiecznych o kusicielu, mającym na rozkazy całe falangi czarownic, on tylko może streszczać zuchwały, cyniczny ateizm; on tylko, przybrany w postać ludzką i w sprawy człowieka wiecznie się wtrącający, może symbolizować negatywne popędy złamanego mędrca. Straszliwa broń nowych czasów: ironia, szyderstwo, drwiny z cnoty, naiwności i zbawienia, sofistyka wykrętna i zjadliwe przycinki pod adresem Bóstwa — oto czysto ziemski arsenał, tak różny od biblijnych jakichś zastępów djabła w *Raju utraconym*. Goethe pierwszy pokazał, co to jest szatan siedzący w sercu człowieka, pierwszy skrysztalił zwierzęcą stronę duszy ludzkiej, ściągnął djabła na ziemię, wcisnął go do walk ducha filozofującego, żądnego wiedzy, szczęścia i piękna.

A jednak i ta genialna, tak nowożytna kreacya miała niezadługo usunąć się na drugi plan. Zjawili się śmiertelnicy, którzy djabelskością przewyższyli Mefista i zdegradowali go na chochlika, na pospolitego żołdaka piekielnej armii, prześcignęli go i rozumem i śmiałością, krytycyzmem, zjadliwością ironii i bystrością filozoficzną. Któż-że to taki? Tyle już razy wspomniany Byron w *Don Żuanie*, a głównie — Heine. Tamten jest jeszcze odmianą słabszą — ten wydoskonaloną do granic możliwości. Brytańczyk zadrwił sobie niemiłosiernie z wstydu i wszelkiej cnoty urzędowej, ale jako deista i niezbyt przenikliwy filozof zostawił w spokoju władze nieba, sprytny żyd niemiecki wyśmiał całem swem życiem i wszystkimi utworami, jednym genialnym konceptem i tron nadprzyrodzony i westchnienia sentymentalne. Chytrze podkopał się pod idealizm ludzki i brudnemi stopami wyrzucał w górę jego strzępy. Postawmy obok niego Mefistofelesa, a wyda się żakiem, terminatorem w rzemiośle djabelskiem, stosunkowo tępym i niepomysłowym, silnym jedynie... czarami, w głowie poety wylęgonymi, a nie muzyką słowa, która nawet świętoszków więcej kusi, niż wszelkie złudne obrazy Małgoś. Gdyby Goethe był umarł w r. 56, a Heine 32 bieżącego stulecia a nie odwrotnie, możnaby mniemać, że cicerone Fausta w przygodach miłosnych modelowany był na Heinem, ale modelowany słabo. Takie jest podobieństwo rodzaju, ale taka różnica burzącej potęgi. Heine mądrzejszy jest o całą filozofię niemiecką, którą zbadał lepiej i gruntowniej od Goethego. Zresztą Mefistofeles — to wytwór fantazyi, Heine zaś człowiek żywy, nieprawdopodobnie cyniczny i dowcipny — ale dotykalny i namacalny i kto go rozumie, ten pod żadną inną postacią kąsającego bluźnierstwa i obyczajowego zepsucia wyobrazić sobie nie może.

Człowiekowi nienawykłemu do zawrotnych odmętów spekulacyi, wydawać się musi, że nawet tak wyprzedzony w swych ideach przewodnich Faust, nie przestaje być okazem wszechludzkim, bo lepiej niż inni uosabia niepohamowaną badawczość ducha i ból z jej niezaspokojenia. Ale i to tylko pozór łudzący! Niechaj na parę miesięcy pogrąży się w wir teoryi poznania, tak nurtującej filozofię najnowszych czasów, niechaj zajrzy w głębie kantyzmu i niezliczonych jego dopełniaczów, niech pożyje trochę przekonaniem, że jest jakieś coś poza sferą zmysłów, czego jednak wysondować nie można, a potem niech dowie się, że nawet istnienie owej rzeczy samej w sobie jest wątpliwem wobec doktryny królewieckiej, niech się przypatrzy ustawicznym walkom o każdą piędź obszaru, dostępnego wiedzy ludzkiej — a z głową pękającą od zgiełku, natłoku i sprzeczności pomysłów, zawoła: *Vade retro satanas!* precz z filozofią, precz z metafizyką, bo w niej oszaleję! A jeśli później rzuci okiem na utyskiwania Fausta — uśmiechnie się może żałośnie i powie: szczęśliwy, doszły go tylko słabe echa zawieji, która nuży jak tułaczka bez celu, a z duszy i serca wyplasza spokój. Ja myślę, że tak twierdząc, będzie miał zupełną słuszność, bo wichry metafizyki rozhuczały się na dobre już po Goethem...

Wogóle mózgi ostatnich dwóch pokoleń nie próżnowały. Wiele w tym okresie przebolała ludzkość, wiele wybadała, wieloma rozczarowaniami się zgryzła, z wielu wybuchów szlachetnych popadała w odrętwienie. Chyba nie ma w dziejach oświaty chrześciańskiej wieku, tak bogatego w zapały i zawody, tak pełnego trującej samowiedzy, tak prawdziwie prometejskiego i odwagą i straszliwą pokutą. A więc Faust poczęty i niemal zrodzony w stuleciu minionem, już być najsilniejszym, *ostatecznym* wyrazem tragedyi i apoteozy ludzkiej nie może, już się anachronizmem staje. Gdy życie jest treściwe, gorączkowe i świadome, rozwój szybkim podąża krokiem a dziesiątek lat staje się setką. Pomiędzy wieloznacznem dziś a kilkoznacznem wczoraj, które stworzyło Fausta — wznoszą się i gęstnieją mgły historyi.

Obniżony w piedestale swym o parę stopni, Faust nie przestaje postaciować w sposób poetyczny podniosłości ducha— i to mu się z prawa należy. Miarę jego symbolicznego znaczenia określił trafnie, choć bezwiednie, Spielhagen swą powieścią *Problematische Naturen*. Bohaterów tego, nawiasem mówiąc bezprzykładnie szczytnego utworu nazwał on gdzieś *Faustuli posthumi* i nazwał wybornie: są to artyści nigdy nie nasyceni w pogoni za ideałem piękna, uczeni żądni poznania „macierzy bytu,“ kochankowie, pojmujący tylko przepaściste głębie uczucia, ludzie, brzydzący się płytkością i przeciętnością i w każdym calu swej organizacyi różni od gminu. Takim jest prof. Berger, schopenhaueryanin, Oldenburg, Oswald, może i Melitta i w przyszłości Helena i Bruno von Barnewitz. Takim właśnie jest — doktor Henryk Faust, ani większy ani mniejszy.

N. Hirszband.

LITERATURA POLSKA.

Hajota. *Nowele*. Kraków, 1887. Żupański i Heumann, str. 455.

Dziwna jednostronność tematów zauważyć się daje od pewnego czasu na niwie beletrystycznej. Jakby za wzajemnem porozumieniem się noweliści nasi obracają się ciągle w zaczarowanem kole miłosnych gruchań, rzadko myśl odświeżając tematami innymi. Do najupartszych z tej kategoryi należy p. Hajota.

W dwóch dotychczas ogłoszonych zbiorach swych nowel dała się poznać jako autorka, czerpiąca pomysły przeważnie z fantazyi, wspartej tu i owdzie bystrą i trafną

obserwacyą. Zdolność zajmowania opowiadaniem i pewna łatwość pióra były głównymi czynnikami, które się uwidoczniły w tych pierwszych próbach. Ostatni daje świadectwo, że widnokrąg, który p. Hajota ogarnia spojrzeniem, zwolna zaczyna się rozszerzać. Treść utworów jest tu nierównie żywotniejszą, niż w poprzednich zbiorach; autorka widocznie coraz uważniej przypatrywała się życiu, coraz więcej bowiem dotyka realnej jego strony. Przewagę trzyma wprawdzie jeszcze ciągle fantazya i górujący po nad wszystkiem pierwiastek miłosny—zdaje się, ulubiony — widać jednak stanowczo zwrot ku realizmowi i pogłębienie myśli w kierunku wszechstronniejszego przedstawien a natury ludzkiej. Staranniejszy dobór pomysłów daje autorce pole do pierwszych prób analizy psychicznej, a całość obrazków niepozbawioną jest miejscami cech artystycznego obrobienia.

Wątek opowiadań stanowi, jak wspomniałem, miłość, studyowana w najrozmaitszych fazach i objawach. Na tem mdłem i spowszedniałem tle przesunęła jednak autorka kilka postaci, zarysowanych śmiało i wyraziście, z subtelną i dosadną charakterystyką, wskutek czego niektóre z obrazków zyskały cechy prawdy życiowej a tem samem trwalsze pozostawiają wrażenie. Do takich należą „Slubna obrączka" i „Nemezys serca." W pierwszej z nich widzimy młode dziewczę, przykute skutkiem fatalnego zbiegu okoliczności ślubną obrączką do losów zgorzkniałego starca. W chwili różowych marzeń młodości, gdy serce nie miało jeszcze czasu odezwać się o swoje prawa, dwudziestoletnia Karolina zaślubia 85-letniego starca, dobrowoln e, aby zyskać nazwę mężatki, konieczną do objęcia korzystnej posady nauczycielki w domu bogatej a dziwacznej baronowej. Posadą tą ma ona zabezpieczyć utrzymanie schorzałej matce i siostrze. Związek ze stojącym u grobu starcem nie przedstawiał się dziewczęciu niebezpiecznym dla jej przyszłości. Tymczasem los, jakby dla ironii, skazuje ofiarę poświęcenia na 21-letnie męczarnie w pożyciu z wiecznie dogorywającem próchnem człowieka. Pomysł świeży i oryginalny przeprowadziła tu autorka z wprawą wytrawnego powieściopisarza, rozsnuwając przed czytelnikiem pasmo cierpień i udręczeń młodej ofiary, która własnowolnie a nieopatrznie zwichnęła szczęście swego życia, stawiając je na kartę. Obrazek to pomyślany na szersze rozmiary. Główne postacie Karoliny i Strzemieńczyca odkrywają się wyraziście. Szkoda jedynie, że niewłaściwie zastosowana forma opowiadania psuje wrażenie czytelnikowi, nie pozwalając mu śledzić bezpośrednio przebiegu wypadków.

Wręcz przeciwny typ, skończenie ujemny występuje w opowiadaniu p. t. „Nemezys serca." I tu zasadniczem tłem miłość, ale przedstawiona z zupełnie odrębnego stanowiska. Oto stary bogaty samolub, który nigdy nie usiłował zawrzeć sojuszu z tem uczuciem, owszem nawet w stanowczej chwili wyrzekł się go na całe życie, w niedołęztwie starości zostaje na łasce lokaja, wyrostka o najgorszych instynktach, który go w cyniczny sposob wyzyskuje. Za doznane dobrodziejstwa, które mu stary świadczy z pobudek samolubnych, aby go nieopuściła ta jedyna istota opiekuńcza, Murek odpłaca mu najczarniejszą niewdzięcznością, poniewierając go w sposób oburzający, aż wreszcie razu pewnego pozostawia sparaliżowanego starowinę w ciemną noc na słocie a sam udaje się na kolacyę z uroczą nimfą półświatka. W chwili, gdy palące łzy bólu, rozpaczy i niedołęztwa cisną się do oczu nieszczęśliwemu, pozbawionemu ludzkiej pomocy, zjawia się — nemezys. Stary samolub przypomina sobie, że niegdyś odepchnął młodzieńca ubogiego, krewnego swego, który przyszedł doń prosić o zasiłek na wpis. Student umarł wkrótce wycieńczony nadmiarem pracy i nędzą. Dziś byłby mu może opiekunem. W kałuży błota kończy stary życie a Murek, uzupełniając zbrodnię, rabuje jego majątek i przepada bez wieści. „Tak mści się miłość za swe zapoznane prawa." Nowela to jedna z najlepszych, jakie wyszły z pod pióra p. Hajoty. Psychologiczna strona przedstawiona tu trafnie i odczuta głęboko, a artystyczne obrobienie stawia ją w zbiorze na pierwszem miejscu.

Mniej szczęśliwym jest pomysł „Przeciągniętej struny." Kreśli tu autorka idealnie dodatni charakter dziewczęcia, które nie śmie wyznać swej miłości i z cichą rezygnacyą znosi smutny los zmarnowanego życia i młodości a ostatecznie śmiercią okupuje nadzieję uratowania ukochanego, ktory związawszy się z inną kobietą, w związku tym szczęścia nie znalazł i również z tego samego powodu doświadcza dziś moralnych katuszy. Zbyt sentymentalny koloryt nadaje temu opowiadaniu cechę maniery, aczkolwiek z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że niektóre sylwetki (np. ciotki lub księdza) są wiernie z natury uchwycone.

Wdzięczne są również dwa mniejsze obrazki „Wymarzone spotkanie" i „Ostatni kosz." Kochająca się para w smutnej chwili rozstania, rzuciwszy sobie pytanie: czy się kiedy spotkają—spotyka się z sobą istotnie przypadkowo po latach 15. Czas, ten najlepszy lekarz na miłość, zmienił nietylko powierzchowność, ale i upodobania obojga. Ona jest dziś żoną poczciwego hreczkosieja i szczęśliwą matką kilkorga dzieci, on zdenerwowanym sybarytą. Oboje spoglądają na siebie z niesmakiem, daremnie wzajem szukając śladów dawnych ideałów. Sympatyczna drobnostka „Ostatni kosz" opowiada o niepowodzeniach małżeńskich pana Wacława, uwieńczonych przy szóstym „koszu" szczęśliwym skutkiem. Oto ta, która pierwsza odmówiła ręki, obecnie wdowa, zostaje jego żoną i ratuje od szóstego z rzędu kosza, który miał go spotkać ze strony jej córki.

Trzy ostatnie szkice: „Czemu ciebie tu nie ma?" „Kwiat paproci pana Leonarda" i „Znasz-li ten kraj?" są płodem rozbujałej fantazyi i pod względem wartości zajmują szary koniec w zbiorze. Swiadczą one może o obfitym zasobie wyobraźni autorki, są jednak dowodem, że p. Hajota niewytłomaczoną czuje słabość do bujań po krainie marzeń. Niestety, forma literacka, użyta do uzmysłowienia tych majaków, zbyt jest pospolita, myśli zbyt mdłe i powszednie, aby mogły zająć uwagę i nadać tym utworom jakąkolwiek wartość. Język autorki jest poprawny, miejscami tylko zdarzy się niewłaściwe a śmieszne porównanie np. (na str. 315) „Piaski jego wyobraźni wilgotniały pod rosą wspomnień a cynamonowe badyle dawniejszych uczuć zazieleniły się jak oliwne drzewa."

Mimo wad i usterek ostatni zbiór nowel Hajoty można odczytać z przyjemnością. Swiadczy on, bądź co bądź, o rozwoju talentu autorki, który zwrócony na tory rzeczywistości i łączących się z nią zagadnień społecznych, dotąd starannie omijanych, z czasem zapewniéby mógł autorce miejsce we współczesnej naszej beletrystyce. Kilka z pomiędzy utworów rozmiarami przekracza zakres noweli, i jak gdyby zapowiadają one, że autorka ma zamiar spróbować formy powieściowej. Zwrot ten uważamy za racyonalny; do tego jednak niezbędną byłoby rzeczą wycofać się z błędnego koła tematów *) miłosnych a spróbować podjęcia kwestyj poważniejszego pokroju.

W. P.

*) Po części autorka spełnia tę zapowiedź w obszerniejszej powieści, którą drukuje *Kuryer warsz.* (*Red.*)

LITERATURA RUSIŃSKA.

Weselka. *Literaturna zbirka, złożyw Andrij Mołodczenko.* Lwów, 1887.

Jest to znakomicie ułożona książka do czytania dla szkół wiejskich. W szeregu artykułów, wierszyków, przypowieści, obrazków beletrystycznych, przedstawiony tu cały świat zjawisk ukraińskiej wioski, w sposób nadzwyczaj popularny. Ugrupowanie zdradza rękę wytrawnego pedagoga. Słyszeliśmy, że książka ta ma być tłomaczoną na język polski, na co zupełnie zasługuje. Główną jej zaletą, prócz ślicznego języka i przymiotów pedagogicznych, jest serdeczne ciepło, wiejące z każdej stronicy, gorąca miłość do ludu i ta iście ludowa prostota, z jaką wyłożono tutaj najróżnorodniejsze przedmioty: wiele wiadomości z zoologii, botaniki, fizyki, a nawet z życia społecznego.

Wilhelm Tell, drama w pjaty dijach Fridricha Szillera, z nimeckoho perekław Wołodymyr Kmicikewycz. Wydanie „Akademicznoho bratswa." Lwów, 1887.

Rusini dość skrzętnie od kilku lat przyswajają sobie arcydzieła literatur obcych. W r. 1869 wyszło moje tłomaczenie *Kaina* Byronowego, 1882 mój przekład pierwszej części *Fausta* Goethego, w tymże roku wydał p. Kulisz pierwszy tom swego tłomaczenia Shakespeare'a, mieszczący *Otella, Komedyę pomyłek, Troila i Kressydę.* W 1883 p. Ninczyński w Odesie wydał przekład *Antygony*, a od owego czasu pracuje nad przekładem *Odyssei* Homera. Obecnie w tym szeregu stanął młody, początkujący pracownik p. Kmicikiewicz, wydając przekład *Wilhelma Tella.* P. Kmicikiewicz pochodzi z „rusińskiej Szwajcaryi," z Huculszczyzny; nie dziw więc, że język jego bardzo żywo zabarwiony narzeczem huculskiem, co nadaje tłomaczeniu nieco oryginalną, miejscową fizyognomią, pomimo ścisłej wierności. W przedmowie, napisanej przez Iwana Franka, przedstawiona geneza utworu Schillerowego, rozwój podania o Tellu, wpływ dramatu na współczesnych i znaczenie jego dla naszych dni i dla rusińskiego narodu. Stowarzyszenie studenckie „Akademiczne bratstwo" dobrze się przysłużyło literaturze ojczystej, wydając swoim kosztem tę pracę jednego ze swych członków.

Halszka Ostrożska, tragedija w pjaty aktach, napysaw Onolan Ohonowskyj. Lwów. 1887.

Tragedya ta z powodzeniem graną bywa na scenie teatru rusińskiego, a obecnie jako osobna odbitka z czasopisma *Zorja* wyszła w książce kosztem towarzystwa „Ruska besida." Jest to jedna z tych tragedyj, które dość często pojawiają się u nas, wywołane raczej potrzebą budzenia zapomocą sceny uczuć patryotycznych, niż natchnieniem poetycznem. Opowieść dziejowa o Halszce Ostrogskiej, dwa razy przemocą wydanej za mąż i umierającej w więzieniu u swego drugiego męża, jest tragiczną, ale nie dramatyczną. Bohaterka, bierna ofiara, przez 5 aktów cierpi męki, tortury, bez własnej winy. Inne postacie, jak matka Halszki, Beata, jej stryj Wasyl Konstantyn Ostrożskij, książę Sanguszko, pierwszy, i książę Łukasz Górka, drugi mąż Halszki, skreślono są tak, że nie mogą pozyskać naszej sympatyi. Przez dowolność poetycką książę Dymitr Wiśniowiecki, typ kondotiera XVI wieku, za to, że był założycielem Siczy, pasowany na bohatera narodowego. Lecz i ten rycerz w dramacie naszym żadnej nie rozwija czynności. Mimo tego ubóstwa akcyi, mimo braku pogłębienia psychologii charakterów, tragedya posiada wiele momentów szczęśliwych, które jej zapewniają dłuższe utrzymanie się na deskach naszego teatru, niż niektórym jej poprzedniczkom, jak np. „Nastasi" ks. Ilnickiego, lub tragedyom p. Ustjanowicza z czasów staroksiążęcych. Język u O. Ogonowskiego,

prócz niektórych niezręcznych a ciągle się powtarzających zwrotów, wogóle czysty, chociaż u wszystkich osób prawie jednakowy i zdradzający więcej studyów, niż żywej obserwacyi.

Luboradzki. *Semejna chronika A. Swydnyckoho*. Rusko-ukraińska biblioteka, t. 15—17. Lwów, 1887.

Znakomity ten utwór zmarłego przed kilkunastu laty autora ukraińskiego, drukowany przeszłego roku w *Zori*, wyszedł jako osobna książka nakładem p. Eugeniusza Oleśnickiego, w wydawanej przezeń na wzór Reklama „Rusko-ukraińskiej bibliotece.“ Jest to historya rozbicia i upadku staroświeckiej rodziny księdza ukraińskiego na Podolu. Obok znakomitej ze wszech miar charakterystyki bytu duchowieństwa staroświeckiego, reprezentowanego w takich typach, jak ks. Gerwazy Luboradzki i jego żona, mamy tu historyę młodego pokolenia: syna Antoniego Luboradzkiego, którego powieść w całym szeregu świetnie i z wielkim realizmem skreślonych scen prowadzi przez niższe szkoły duchowne, dalej przez seminaryum kamienieckie i który wreszcie ginie wskutek nieszczęśliwego ożenienia, do czego był przez władzę zmuszony — i dwóch córek, Mari i Orysi. Jedna z nich nassawszy się w jakimś prywatnym pensyonacie wątpliwej wartości ducha szlachecko-polskiego, zatruwa życie sobie i rodzinie, a wreszcie wychodzi za jakiegoś leśniczego i ginie w nędzy, kończąc samobójstwem; druga zaś idzie pomimo swej woli za przysłanego z tulskiej gubernii seminarzystę, krewnego archireja i ginie również z jego ręki. Całość pisana prześlicznym językiem i z takiem ciepłem, rzewnem uczuciem, z takimi błyskami czysto ukraińskiego humoru, że utwór ten, w przeważnej części krystalizujący osobiste wspomnienia autora, zaliczyć można do ozdób literatury rusińskiej.

Rusałoczka, zbirnyczok tworiw Z. Petrusia. Kijów, 1887.

Jest to malutki (wszystkiego 32 stroniczki małego formatu) zbiorek wierszy lirycznych, nieodznaczających się ani formą, ani myślą. Po co je autor wydrukował — trudno zgadnąć. Iskrę talentu znać w jego utworach, ale iskra ta wymaga jeszcze starannego krzesania i dmuchania, by żywym zapłonęła ogniem.

Hołodnomu i opeńku—mjaso, miszczańska komedija-wodewil na 2 diji Iwana Łewićkoho. Kijów, 1887.

Jeszcze mniej zrozumieć możemy cel wydrukowania tej ze wszech miar nieudatnej farsy znakomitego ukraińskiego powieściopisarza. Jest to rzeczywiście plama na jasnej tarczy jego poetyckiej twórczości. Z szacunku dla autora wstrzymuję się z jej rozbiorem, wyrażając chyba gorące życzenie, by p. Lewicki raz na zawsze porzucił pisanie podobnych utworów: gdyż w taki sposób grzeszyć wolno mu mniej, niż każdemu innemu.

Iwan Franko.

TEATR.

Pokusa, komedya w 5 aktach Oktawiusza Feuilleta w tłomaczeniu Jaksy Bykowskiego.

Jak księgarz nakładca nie zawodzi się u nas nigdy w rachubach na pokup galanteryi religijnej o złoconych brzegach i lśniącym na okładce krzyżu — tak samo scena warszawska zawsze „robi kasę“ wystawieniem rozczulających i rozmarzających numerów repertuaru francuskiego. Jeżeli jeszcze prócz zwykłej błyskotliwości sztuka zbliża się do sfery poważniejszego dramatu, powodzenie jest zapewnione, a bezwzględna pobłażliwość dla wszelkich absurdów logiki i psychologii drogą milczącego plebiscytu z góry przyobiecana.

Utwory Feuilleta, a zwłaszcza jeden z najwcześniejszych, *comme de raison* u nas najpóźniej wystawiony, do tego rodzaju należą: oto cała tajemnica zbieranych przez nie oklasków. I *Pokusa* wzorem wszystkich lichszych odcieni romantycznego idealizmu, lub — jeśli kto chce — idealistycznego romantyzmu, odważnie wchodzi w ogień zagadek etyczno-duchowych, jak one, stawia sobie lub raczej roi jakiś węzeł gordyjski, ażeby później olśnić zręcznem jego rozwiązaniem.

Tym razem szło o poglądowe okazanie niebezpieczeństw, wynikających z nadto wygórowanych wyobrażeń o szczęściu małżeńskiem. Hrabinę de Vardes, kobietę z wyższym sposobem myślenia, tj. spędzającą czas na załamywaniu rąk, wzdychaniu, wznoszeniu łzawych oczów do nieba, a w pewnych chwilach, mianowicie w niedziele i święta, zrezygnowaną zaniedbuje małżonek, obywatel, i sportsman, który jej podniosłych pragnień nie pojmuje, choć ją po swojemu kocha i ceni i nie daje pokarmu jej spragnionemu wybuchów uczuciowych sercu. Nadmienić trzeba, iż szlachetny ten regulator oddechu i krwi obiegu uderza nietylko dla niewidzialnych ideałów, ale i dla córki... szesnastoletniej, a więc jest w okresie, co najmniej, drugiej młodości. Do tak rozgrzanej miny niespodzianie przytyka lont jakiś przybysz z szerokiego świata, człowiek jak gdyby wymarzony, „z wyniosłem czołem i głębokiem wejrzeniem“ i pokusa się zaczyna. A że wziął się do rzeczy nader romantycznie, poprzedziwszy ukazanie się swoje wierszowanym śladem bytności w altance bohaterki, w charakterze zwiedzającego park turysty — więc wybuch grozi nie na żarty. Mina jednak uzbraja się w siłę woli, nakłania podpalacza do oddalenia się i już święci tryumf nad słabostką, gdy dziwny zbieg okoliczności naraża ją powtórnie, choć całkiem niewinnie, na próbę. Oto mąż daje powód do podejrzenia o afekt dla uroczej pani Dumesnil, świekra rzuca gryzące aluzye i wywołują w biednej rozgoryczenie i pognębienie. W tej chwili zjawia się jako niemy widz kusiciel. Przyszedł, by raz jeszcze przed ostateczną rozłąką popatrzeć na ukochaną, ale że ujrzał ją zalaną łzami, nie mógł się powściągnąć, wyszedł z ukrycia i — scena z jabłkiem rajskiem powtarza się, ażeby mało zresztą zagrożonemu małżonkowi, który jej mimowolnie podsłuchał, narzucić mus pojedynkowania się, a niedoszłej grzesznicy zgotować wstyd. Gontran bowiem postanowił rozłączyć się z nią natychmiast po wydaniu za mąż córki. Tak dramatycznie napięte stosunki wracają do pierwotnej równowagi dzięki temu właśnie dziewczęciu; wyznało ono, że miłość swą dla szlachetnego kuzyna, istnego bohatera całej komedyi, nieskończenie wyższą nad płoche wybryki dotychczasowe w towarzystwie salonowych fircyków, zawdzięcza jedynie wpływowi matki, która w ostatnich czasach szczególnie się nią zająwszy, rozbudziła umysł i wykształciła serce. Wiadomość ta stawia winowajczynię w innem świetle. Ów kuzynek nadto był dobrym duchem domu i zawsze występował jako poświęcony rozjemca — rzecz więc prosta, iż rodzice w waśni trwać dłużej nie mogli. Błogosławiąc młodej parze, palą jej pod własnym adresem półgodzinne mówki — i pokój zawarty, a nawet przypieczętowany gorącymi uściskami.

Nie trudno to zresztą przyszło autorowi. Pokłócił przyzwoite stadło niewiadomo dla czego, zapomniawszy widocznie, że strona brzydka odpłaciła pięknej równą miarą — bo zapewne westchnieniami do pięknej Dumesnil przy świetle księżyca, podczas przechadzki nocnej, podpatrzonej przez kogoś życzliwego — i jeżeli należało karać kogoś, to chyba obojga. A tu zaraz pakowanie kuli pistoletowej w ramię, przebąkiwanie o separacyi — innemi słowy wzajemne okłamywanie się dwóch debiutantów w sztuce niewiary małżeńskiej. Jakiś Valabregue lub Halevy zrobiłby z tego ucieszną farsę, Feuillet podniósł do rangi dramatu, nazwanego jedynie komedyą. Potrzeba było ulepić problemat psychologiczny, więc się go ulepiło, wybrnąć z urojonej trudności i wybrnęło się.

Romantyzm francuski, w takich przedstawicielach, jak W. Hugo, Gauthier lub Balzac — uderza jedną potężną właściwością, której sądzono było zaimponować niegdyś światu — świetną psychologią, niekrzywdzoną bynajmniej przez nadmiar uczucia lub fantazyi. To jądro realne powinnoby tkwić właśnie w węźle zasadniczym *Pokusy* — ale tam jest tylko łupina, dla której nie byłoby niesprawiedliwością wyrzucenie jej za okno.

Reszta intrygi, otaczająca oś bajki, również piętna genialności nie nosi. Zanim zjawiła się pokusa, ba, na długo przedtem, w powietrzu wisiały jej wróżby, a gałązka oliwna w osobie powiernika Gontranowej przeczuwa kataklizm i ostrzega przyszłą jego ofiarę tak dokładnie, jak gdyby zawczasu znała sprawcę i miała sobie zakomunikowany dzień jego przybycia.

Ten sam anioł stróż domowej zgody połyka wciąż ślinkę na widok względów, okazywanych przez młodziutką Helenę rojącym się dokoła motylom i nawet nie śmie marzyć o wzajemności, bo go natura obdarzyła urodą nader pospolitą i mieszczańską, a damy używają do wszelkich posług — gdy nagle dowiaduje się, że jest konkurentem szczęśliwszym od innych. A to wszystko sprawiły kilkomiesięczne perory skruszonej matki.

Takich próbek możnaby naliczyć znacznie więcej.

Przechodząc do charakterystyki samych postaci, nie rozstajemy się bynajmniej ze sferą cudowności, ogólników i zapewnień autora, że taka i taka z osób działających posiada takie a nie inne cechy znamienne. Trzeba mu więc wierzyć na słowo, że Kamilla de Vardes jest kobietą wyższego gatunku, że Trévelyan kuszący jest właśnie groźnym dla niej ideałem, choć tej rekomendacyi nie usprawiedliwia niczem zgoła prócz wytworności, zapożyczonej zresztą od p. Tatarkiewicza; że mąż Kamilli zdolny jest w istocie do głębokiego, niemal przesadnego ubolewania nad nieszkodliwym, niedokończonym romansem połowicy, pomimo że dotąd nie mógł słuchać jednego zdania poważnej rozmowy, żeby jej nie przerwać kilkakrotnie troską o psy i konie. Dziwnie jakoś ci hrabiowie umieją godzić miłość dla zwierząt z miłością dla przekwitających towarzyszek życia! Z dziwną siłą w tych głowach pustych i płytkich wybucha uczucie obrażonej dumy. Patrząc na hrabiego de Vardes, jak rozpacz z dostrzeżenia w czuprynie siwego włoska umie łączyć z wielką boleścią męża zadraśniętego nieczule w swym honorze, mimowoli wzruszasz ramionami i szepczesz: Co u licha, czyżby ta żona warta była tyle, ile dobra klacz wyścigowa?

Naczyniem wszelakich cnót i zalet umysłowych jest Adolf de Kerouare; posiada on jakoby „rozum oryginalny,“ wyrażający się w objawach, z których raczej złożyćby można „popychadło“ ale nigdy szczęśliwego amanta. Całą poezyę swej istoty wypowiedział w swym opisie Szwajcaryi w zimie: „wyobraźcie sobie państwo wszystko białe!“ Cała zaś ekscentryczność jego polega na tem, że tchórząc przed swarzącemi się świekrami, w kłótniach przyznaje słuszność obydwom.

Stosunkowo lepiej udały się sylwetki drugoplanowe i zarazem komiczne. Matka Gontrana dowcipnie i prawdziwie streszcza w sobie cierpkość, suchość, okrucieństwo i etykietę starej arystokratki-sekutnicy; de Seillanes, idyotyczny lowelas, który myśląc że ma do czynienia ze zwyczajną lubownicą wrażeń, zabiera się do Kamili i udaje rozpoetyzowanego marzyciela, na podobień-

stwo pięcio - krzyżykowych panien — jest pomysłem wybornym.

Układ sztuki jest wysoce scenicznym ale i wysoce szablonowym. Są i strzały i omdlenia i kazania na temat moralności i zdumiewające zbiegi wypadków i tym podobne wytarte sprężyny komedyo-dramatu francuzkiego.

Chcąc wspomnieć o grze artystów, nie można nie pomyśleć jednocześnie o świeżych uwagach Lubowskiego „Około teatru“ — tak są trafne i tak je znakomicie potwierdza pierwsze przedstawienie *Pokusy*. Z pewnością mniej by ono raziło zdawkowym sentymentalizmem, gdyby było poprzedzone jakiemiś krytycznemi wskazówkami reżysera o duchu i nastroju sztuki, o wymaganiach jej i czasu — a może nawet i nie reżysera, lecz kogoś jeszcze lepiej obznajmionego z literaturą. Bo i sam p. Tatarkiewicz zachował w swej grze nałogi nie do wybaczenia; gdy wyznaje miłość, nie zadawalnia się patosem, ale dodaje jeszcze fatalne wstrząsanie figurą; w tak stylowym artyście jest to godna pożałowania ujma. W pannie Noiret nie przestaniemy podziwiać dwóch osobliwych darów: świetnych warunków i talentu czynienia z najefektowniejszych miejsc — ogródkowych popisów melo-dramatycznych. Doprawdy — sztuka to nie lada nagromadzić naraz tyle płaczliwości głosu, pospolitości w załamywaniu rąk, giestach i postawie. Nawet najżarliwsi z paradyzowych klaskaczów mogliby z czystem sumieniem wyznać, że od takiej gry do niemożliwej jeden krok tylko. Występ p. Sznago przypomniał publiczności i p. Romanę Popiel i p. Czakównę, naturalnie tylko ze strony zewnętrznej; wszakże rycerskość sąsiedzka każe mi wyznać, że urodą przewyższa obie. P. Szymanowskiemu „kuzynkowi do wszystkiego“ od pewnego czasu powierzają prócz birbantowskich i role, jednocześnie komizm z głębią uczucia; wybór okazuje się trafnym. P. Ładnowski miał zadanie trudne — zespolenia w jednej osobie kilku natur i temperamentów; a więc nie łatwo określić wykonanie jednym wyrazem. To pewna, że powinienby dykcyę swą więcej i staranniej stosować do odtwarzanych indywidualności — niechaj nie będzie zawsze tak urywaną, gniewliwą jakąś i przez to jednostajną. Jest to zupełnie w mocy aktora tej miary. P. Ostrowska w rolach charakterystycznych zawsze a więc i teraz, jako teściowa bohaterki jest doskonałą.

Cez. Jel.

LEON CIENKOWSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Jeszcze żywo mamy w pamięci szlachetną postać tego starca, jak otoczony kołem poważnych dostojników nauki i władzy, ścigany pałającym wzrokiem rozentuzyazmowanej młodzieży, w słowach prostych i serdecznych dziękował za robione mu owacye, w dniu jego jubileuszu 35-letniej pracy dla nauki. Opowiadając pokrótce o ciężkich zapasach, jakie musiał stoczyć, nim dotarł do ołtarza czystej wiedzy, zachęcał młodzież do wytrwałej, samodzielnej pracy, a ogół do moralnego popierania młodych uczonych, przez zrozumienie i odczuwanie ich pragnień i dążeń. Zacny to był człowiek, znakomity badacz i profesor. Urodzony 1 października 1822 roku w Warszawie, tu w 1839 r. ukończył gimnazyum i w tymże roku, jako stypendysta wstąpił do petersburskiego uniwersytetu na wydział matematyczny. Po kilku jednak tygodniach, porwany wykładem znakomitego na owe czasy profesora zoologii, Stefana Kutorgi, przenosi się na wydział nauk przyrodniczych, którym pozostaje już wiernym aż do śmierci. W 1844 kończy uniwersytet ze stopniem kandydata a w 1846 za rozprawę „Kilka faktów z historyi drzew iglastych“ otrzymuje stopień magistra. W 1847 r. wraz z pułkownikiem Koralewskim odbywa podróż do Afryki środkowej (Sudan pół.-zach.), mając sobie poruczone przez petersburską Akademię nauk zebranie przyrodniczo-historycznej kolekcyi i danych do zbadania etnografii owych krajów. Wyniki swych poszukiwań umieścił w *Geograficzeskich Izwiestjach* za rok 1850. Po powrocie z dwu-letniej podróży, obejmuje w 1850 r. katedrę nauk przyrodniczych w jarosławskiem Demidowskiem liceum. W 1855 przechodzi na katedrę botaniki do uniwersytetu petersburskiego. W 1856 r. po świetnej obronie rozprawy „O niższych wodorostach i wymoczkach“ otrzymuje stopień doktora nauk przyrodniczych. W 1859 wyjeżdża znowu za granicę, gdzie w przeciągu lat czterech prowadzi badania mikroskopijne organizmów niższych. W 1865 r. zajmuje katedrę botaniki w nowo otwartym uniwersytecie noworosyjskim, skąd w 1871 r. przechodzi na takąż katedrę do Charkowa, gdzie prowadził wykłady aż do przeszłego roku. W ostatnich już czasach zmęczony, zbolały od cierpień fizycznych (rak w żołądku) i moralnych (stracił kochanego syna), wyjechał leczyć się za granicę, do Lipska i tam zakończył życie.

Zaczął pracować wtedy, kiedy w naukach biologicznych nie wątpiono o stałości i pewności dwu państw przyrody, zwierząt i roślin. Zdawało się, że obie te dziedziny są całkowite, że mają ściśle określone granice. Haeckel na miejscu tej granicy postawił grupę organizmów niższych, protistów, które mogą zjednakowem prawem być zaliczone zarówno do zwierząt, jak i do roślin. Otóż ta grupa jest przedmiotem szczególnych badań Cienkowskiego. Odkryciem „monas amyli“ i in., opisaniem ich budowy, sposobów rozpładzania się, jeden z pierwszych, przyjął udział w wyjaśnieniu znaczenia protistów, które są uważane za najprostsze, za punkt, z którego rozwijają się zwierzęta i rośliny. Dalej całym szeregiem doświadczeń i badań ustanowił genetyczny związek monad z mikromicetami, monad z flagellata, flagellata z palmellaceae i palmallaceae z wodorostami, morskich heliozoa z tymże typem wód słodkich; potem kładzie podwaliny do nauki o simbiozie u zwierząt i polimorfizmie u wodorostów i bakteryi.

Ostatnie lata życia poświęca nauce bakteryi, zajmując się nietylko ich morfologią, ale i zastosowaniem do chorób zaraźliwych. Drogą długich, ciężkich, nieraz i niebezpiecznych doświadczeń, muszę dodać doświadczeń zupełnie samodzielnych, doszedł do metody otrzymywania wakcyn i ich stosowania, szczepiąc szczęśliwie antraks całym stadom owiec.

Wykład jego odznaczał się dziwną prostotą, zwięzłością i jasnością a przytem wytwornością. Gorliwość, z jaką starał się pokazać słuchaczom pod mikroskopem wszystko, co opowiadał na lekcyi, niewyczerpana łagodność, prostota i słodycz w obejściu, jednały mu w młodem pokoleniu prawdziwych, gorących przyjaciół i wielbicieli. Audytoryum jego było zawsze przepełnionem. Był to *człowiek* w wysokiem, pełnem znaczeniu tego słowa. Cześć jego pamięci!

E. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nieśmiertelność duszy. — Widzialna i niewidzialna. — Olbrzymy nieskamieniałe. — Mozart żywy. — Wielka paciorka w różańcu sztuki. — Jubileuszowe przedstawienie *Don Juana*. — Niezależność od wykonania. — Retorty konkursowe, — Uwaga Humanusa, — Szczególne nominacye. — Korzyść turnieju. — Ks. Kloskie w porządku. — Drogowskaz dla jego towarzyszów. — Co by odpowiedział Ojciec św.

I *Don Żuana* stworzył człowiek? Tak. Od dzikiego wycia do prześlicznej muzyki Mozarta — cóż to za olbrzymia, niewymierzona odległość, a jednak cała mieści się w człowieku? Każda dusza — jak każdy pyłek, lub najlżejsze drgnienie eteru w naturze — jest nieśmiertelną. Pod względem trwania geniusz nie różni się od kretyna, różni się tylko widocznością tego trwania i potęgą wpływu na ludzi; dla nas ostatni umiera, pierwszy — nie. Mimo wszakże owej widoczności pozgonnej wielkich umysłów, my nawet przybliżenie obliczyć nie możemy ich udziału w przemianach życia. Widzimy, że jakiś olbrzym stworzył wspaniałe dzieła, że one dokonały przełomu w pojęciach, że pociągnęły za sobą pracę i myśl ludzką, ale po pewnym czasie wpływ ich tonie w nurcie historyi, jak rzeka wpadająca do morza, której fale tylko niedaleko od ujścia rozpoznać i odróżnić możemy. A jak te fale są w morzu, zmieszane z jego wodami, tak geniusze nie giną w oceanie dziejów. Zdarzają się zaś między nimi kolosy nadzwyczajnej wysokości i siły, które nie kamienieją w martwe posągi i nie stają na uboczu, gdzie ich potomność zamyka w przybytkach chwały minionej, nie odchodzą na cmentarze przeszłości, lecz ciągle, długo, przez stulecia całe idą na przedzie rodu człowieczego. Takim kolosem był i jest Mozart. Wieku XIX nie oglądał, a jednak my dziś słuchamy jego natchnień przedstuletnich z zachwytem. Co za my? Juści nie te płytkie i drobnoziarniste umysły, którym geniusze są niepotrzebne a wystarcza robota mierniaków, których źrenica ślepnie w świetle słońca i zadawalnia się bladymi połyskami nocy, których wązka pierś niezdolna objąć wzruszeń głębokich. Dla tych myśl ludzka przędzie i tka zgrzebne płótno artyzmu, adamaszki jego i gobeliny przeznaczając dla wybranych.

Dzieje sztuki — to różaniec, w którym sznur paciorek małych poprzedzielany jest dużemi; pobożny, przesuwając pierwsze, odmawia pośledniejszą modlitwę, przy drugich — ważną. Ową wielką paciorką w koronie muzyki jest Mozart i dlatego hołd, jaki mu na całym świecie cywilizowanym złożono 29 października w setną rocznicę narodzin *Don Żuana*, był uroczystością wysokiego nastroju. To nie przewietrzenie szanownej starzyzny, nie wystawa zabytku muzealnego lub relikwii pamiątkowej, chociaż dla tłumu, podskakującego w takt wesołej operetki lub ogłuszonego harmidrem dziwacznie skojarzonych tonów, widowisko jubileuszowe tem być mogło; to święto artystyczne, którego bóg nie przeszedł jeszcze do mitologii, lecz pozostaje w wyznawanej przez wielu religii. A jak wykonano u nas nieśmiertelny utwór Mozarta? Dobrym chęciom sił słabych należy się uznanie. Czem nasza operowa chata bogata, tem była rada. Więc wystąpiły głosy mdłe, maluczkie, podarte, stwardniałe, ubogie, ale wydobyły z siebie wszystko, co posiadały. To też jeśli kto godzi się ze mną w wymaganiu, był uraczony. Sądzę zaś, że im większą wartość artystyczną posiada utwór muzyczny, mniej zależy od wykonania. Wolę słyszeć *Don Żuana* gwizdanego, niż *Tanhäusera* śpiewanego przez Kochańską i Mierzwińskiego; tak jak wolę jąkate czytanie *Pana Tadeusza*, niż najpiękniejszą deklamacyę „improwizacyj“ Deotymy. Operę Mozarta można spartolić, ale nie można jej obrzydzić. W naszym teatrze nie okazała ona swych piękności, ale nie zatarła ich, o ile naturalnie ktoś — jak np. przyczepiony do śpiewaków miejscowych gość włoski — nie opuszczał aryj. Takiego fuszera, któryby wydobywając tony zgodnie z nutami, zabił *Don Żuana* — nie ma. Nie było go też w przedstawieniu jubileuszowem. Grano i śpiewano według nut — to już bardzo wiele. Obleccie kangura skórą lwa, będzie utykał na przednie nogi i podpierał się w skokach ogonem, ale wyglądu lwiego całkiem nie zatrze.

Mozart należy do tych wysokich sfer sztuki, gdzie natchnienia przyjmują postać prześlicznych kryształów. Na takich wyniosłościach nie każdemu rozkosznie — ten

i ów czuje chłód, rozrzedzone powietrze, zbyt silny blask roziskrzonych świateł. Ogół zawsze woli niziny ciepło - wilgotne i przyćmione. Nie wymagajmy więc od niego, ażeby wolał rozmawiać z Bogiem w krzaku gorejącym, niż z sąsiadem przy kominku.

Należy on również do geniuszów, których nie zagotowano w retorcie konkursowej. Aż kilka tego rodzaju retort przygotowano w naszej prasie: otworzono turniej dla powieściopisarzów, komedyopisarzów i dramaturgów ludowych. Włok ten, przeciągany przez nasze jezioro literackie, nie wydobył ani jednej grubej ryby, chociaż próbowano rozdąć płotki i karasie do wielkich rozmiarów. Przyczyną zawodów było po części ubóstwo wad naszych a po części dobór rybaków, odstraszających przy połowie. To też Humanus ma zupełną słuszność, gdy w *Kuryerze warsz.* radzi „zreorganizować sądy konkursowe w ten sposób, aby wybitniejsze talenty miały do nich ufność, a noworozwijające się znajdowały w nich trzeźwość sądu, a nie halucynacye, ukazujące im Shakespeare'a tam, gdzie nawet nigdy jego pantofle nie stały." Wątpię, czy jest na świecie literatura, w którejby tyle „walorów" było opartych na kredycie urojonym, podtrzymywanym przez nieporozumienie lub przyjacielską reklamę. Ludzie bez żadnych — powtarzam — bez żadnych uzdolnień i z maleńką wiedzą używają sławy utalentowanych i uczonych, paszkwiliści i szykaniarze piastują godność krytyków, frazesowicze uchodzą za głębokich myślicieli. Aż strach bierze, ile potomność będzie musiała spalić tej lichej słomy, żeby oczyścić i uprzątnąć naszą literacką stodołę! W trybunałach konkursowych widzimy znawców poważnych, ale widzimy także „biegłych," sprowadzonych z ulicy. Czy można wymagać od pisarza szanującego siebie, ażeby swą pracę poddawał sądowi takich „ekspertów," wijących się około jego stóp? Zaufają im przyjaciele, gracze rulet konkursowych, a nadewszystko ta ikra literacka, która wielkiemi ławicami pływa po naszem jeziorze. Z tego zastępu wychodzą „laureaci." Najlepszą w nim cząstkę stanowią owi gracze, pisarze utalentowani, którzy odnoszą zwykle łatwe i niezbyt zaszczytne zwycięztwa. Główną korzyść z turnieju ciągnie urządzająca go redakcya: zwabia sobie pewną ilość utworów przydatnych do druku, a jej organ, długo otrębywany w prasie, zyskuje rozgłos. W granicach tego skutku konkursy nasze udają się i mają racyę bytu. Na nieszczęście coraz bardziej powszednieją.

Stanowczo w Poznańskiem trzeba urządzić konkurs na obywateli, którzy nie chcą sprzedać ziemi niemcom i na księży, którzy nie przebiorą swych uczuć narodowych w barwy Dindera, szanownego „arcypasterza," no, i „prymasa." Nawet gazety liberalno - konserwatywno - chrześciańsko - niechrześciańskie zdziwiły się, że niejaki ks. Kloskie, górnoszlązanin, umiejący po polsku, zobowiązał się w wyższych klasach gimnazyalnych wykładać religię po niemiecku. Doprawdy nie wiem, jakie jeszcze dowody przekonywające rzeczywistość złożyć powinna, ażeby ludzie pewnym, bardzo naturalnym objawom dziwić się przestali. Co to za dzika pretensya wymagać od księdza, zniemczonego, a przedewszystkiem posłusznego swej beznarodowościowej władzy, ażeby był zagorzałym patryotą polskim? Wierzę w patryotyzm wiejskich proboszczów, którzy zżyli się ze swoją parafią, prowadzą gospodarstwo rolne, są ogrodnikami i pasiecznikami, ale nie *l'abusiów*, politykujących, intrygujących, zajętych restauracyą monarchii we Francyi, odzyskaniem władzy świeckiej papieża we Włoszech, propagandą śród „odszczepieńców," słowem, tej „czarnej międzynarodówki," która zaludnia wszystkie większe miasta europejskie, a w religii widzi przedewszystkiem władzę. Żaden kosmopolita czerwony nie jest tak wynarodowionym, jak czarny, którego ojczyzna zakreśla swe granice promieniem interesu papieskiego. To nie obywatel kraju, ale żołnierz wielkiej i karnej armii, który słucha jedynie rozkazów swego wodza. Daleko też dziwniej wygląda szlachcic polski, sprzedający ziemię niemcowi, niż jakiś ks. Kloskie, zaciągający się w służbę germanizacyi. Bo dlaczego ów Kloskie ma być w swych uczuciach politycznych wyższym, niż jego generał Leon XIII? Czemu on niema pomagać Bismarkowi, kiedy jego „ojciec św." obdarza Bismarka orderem Chrystusa? Dalej pójdę: ksiądz prawowity, konsekwentny, wierny swej przysiędze i obowiązkom względem papieża, nie powinien mieć żadnych uczuć narodowych, bo one naruszają jego stosunek do najwyższego zwierzchnika.

Jeżeli tedy wielce miłościwy dobrodzieju Kloskie dosłyszysz mój słaby głos, dowiedz się, że cię bronię i uważam za wiernego sługę Jego Apostolskiej Mości. Przyjmując wykład niemiecki religii w szkołach poznańskich, postąpiłeś zgodnie z wolą twego naczelnego wodza, któremu wcale o to nie chodzi, ażeby jego owce modliły się po polsku, lecz wyłącznie o to, ażeby były jego owcami. Na przygryzki i wyrzuty towarzyszów nie zwracaj uwagi, a skoro ci dokuczą, poskarż się „ojcu św.," ten im pokaże, gdzie rośnie pieprz ultramontański.

Ze strony księży polskich w Poznańskiem jest to nawet nieładnie poszturgiwać czcigodnego Kloskie: gdyż albo niech dobrodzieje wypowiedzą służbę Leonowi XIII i utworzą kościół narodowy, albo niech go słuchają, cokolwiek rozkaże. Rozkazał, ażeby nie sprzeciwiano się Bismarkowi, rozkazał, ażeby archidyecezyą polską w Prusach zarządzał niemiec, pozwolił, ażeby w szkołach religię wykładano polakom po niemiecku — to trzeba robić, albo zawiązać otwartą konfederacyę. Tu Rodus — tu skacz — trzeciej drogi nie ma, bo kwaśne miny, pomrukiwania, szepty przy zamkniętych drzwiach—nic otwierają żadnego wyjścia. Zamiast zezem patrzeć na biednego Kloskie, jedźcie do Watykanu i powiedźcie Leonowi XIII:

— Ojcze święty, gdzie twoja biała sutanna? Przebrałeś się zupełnie w mundur prusaka, a my chcemy na Stolicy Apostolskiej widzieć namiestnika Chrystusowego. Cofnij się, bo już daleko przeszedłeś po za granice naszej cierpliwości.

Ciekawa rzecz, co by im odrzekł papież. Pewnie by zapytał: czy rzeczywiście ładny ten dywan, który mu na jubileusz przygotowały damy warszawskie?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Szkoła dla rozwijania umysłu, czy różnic klasowych? — Boleść społeczeństwa. — Sprawozdanie ministra oświaty. — Rezygnacya *Kraju*. — Losy talentów i geniuszów w przyszłości. — Prośba ślusarzy i gotowość jej spełnienia przez *Gaz. rzemieślniczą*. — *Lodzerka* w sprawie interesów „krajowych." — Niemcy w polskiej skórze. — Krótka historya cechu piekarskiego Łodzi. — Czynniki umoralniające w Łęczycy. — Chór z pięćdziesięciu studentów warszawskich. — Z tajemnic biura telefonów.

Odrębność klasowa w surowym klimacie naszym wiele cierpiąca, znalazła nową cieplarnię. W Smile (pow. czerkaski, gub. kijowska) w majątku hr. Bobryńskich, niejaki p. Wiktor Kędzierski, otwiera szkołę prywatną z programem ośmiu klas gimnazyów filologicznych. Zakład odpowiada wymaganiom hygieny: położony nad rzeką, ma wygodne miejsce na letnie i zimowe przechadzki, posiada własnego lekarza. Ale: dzieli się na dwa oddziały: *dla zamożnych* i *dla biednych*. Pierwsi mają przywilej ćwiczenia się w rozmowie francuskiej i niemieckiej. Żywo mi się przypomniały (może w złą godzinę) czasy czyszczenia butów koledze-paniczowi przez kolegę-pachołka.

Sprawy szkolne (nie przerywajmy nici!) rozpostarły się po całej przestrzeni państwa. Wiele w nich punktów wyjaśnia sprawozdanie ministra oświaty z r. 1884, świeżo ogłoszone. W ciągu owego roku przyjęto do gimnazyów i progimnazyów w całem państwie 14,938 uczniów, ukończyło zaś kurs ze świadectwem dojrzałości 2,696. Zatem możliwość pomyślnego ukończenia wynosi mniej niż 1 na 5. Prawie wszyscy po skończeniu szkół udają się do wyższych zakładów naukowych. Z owej liczby uczniów, opatrzonych świadectwem dojrzałości, tylko 12 bezpośrednio potem poświęciło się zawodowi praktycznemu. Tegoż roku w sześciu uniwersytetach ukończyło kurs 1,223 słuchaczów. Przeciętnie 90% wychowańców gimnazyalnych wstępuje zwykle do wszechnic. Zatem z zestawienia cyfr można wnioskować, że zaledwie połowa młodzieży, udającej się do wyższych zakładów, kończy pomyślnie. Na 11 więc gimnazistów 1 zaledwie może skończyć uniwersytet. Nie wiem, czy zwrócono uwagę na to, że w liczbie opuszczających zakłady naukowe przed ukończeniem, *znaczny* procent stanowią *zamożni*. *Kraj* po długim szeregu cyfr przychodzi do wniosku, że każde uzyskanie stopnia akademickiego kosztuje (przez lat 10—15) kilkadziesiąt tysięcy rubli. Dalej twierdzi, że nowy system szkolny musi sprowadzić w naszej młodzieży „zmniejszenie rojeń niepodobnych do urzeczywistnienia," wywoła niezbędną potrzebę zastosowania jej kształcenia się do działalności praktycznej na miejscu, uszczupli odpływ na obczyznę sił młodych. Taką spokojną rezygnacyą organ petersburski kończy wywody, pełne współczucia i żalu. Zapomina on, że chleb nie stanowi wyłącznej rozkoszy życia ludzkiego, że wielu bawiących się *rojeniami* woli o głodzie rozglądać się w jasnościach, niż z pełnym żołądkiem spoczywać w mroku. Zdaje mi się, że wszelkie talenty i geniusze *prawie zawsze* wyrastały z nędzy. Czy zasobni, którym przybytki wiedzy na oścież otwarto, dostarczą społeczeństwu potrzebnej liczby umysłów *wyjątkowych*? Cyt! Słyszę śmiech Mefistofelesa... Nie jestem prorokiem, lecz śmiem przypuszczać, że z czasem wypłynie na świat bękarci ród talentów, który będzie zaspokajać potrzeby duchowe łaknących tłumów. Nie mając kluczów, dorobi wytrychy do przybytków wiedzy, aby rozejrzawszy się w ich wnętrzu, iść dalej o własnych siłach. Tych zuchwalców ubogich może w przyszłości prawowici posiadacze nauki będą nazywać *opryszkami wiedzy*.

Otrząsam się ze smutnych myśli pod wrażeniem listu ślusarza w *Gaz. rzemieślniczej*. P. Skibiński w imieniu swych towarzyszów woła o specyalne, dostępne dla nich pismo. Musi ono być redagowane praktycznie, z pominięciem form wyższej matematyki, oparte na doświadczeniach. Powinno zawierać statystyczne dane o fabrykach i przedsiębiorstwach w kraju i Cesarstwie, gdzie i jakie roboty się rozpoczynają itd. Z przyszłych szkół fachowych, daj Boże, powiada autor listu, żeby choć następne pokolenie mogło korzystać. „My tymczasem jesteśmy zostawieni samym sobie... Nasz rękodzielnik jest pełnoletni, tylko nie możemy sobie znaleźć wspólnej drogi, każdy samopas bieży. W Paryżu, Wiedniu, Berlinie rękodzielnik ma specyalne dzienniki, które go informują, gdzie jest jaka droga do zbytu pracy. Często też owi zagraniczni, idąc za takiemi wskazówkami, zajmują u nas miejsca, o których my nawet nie wiemy." Mają nadto stowarzyszenia dla wzajemnej nauki i pomocy. A my — powiada dalej — nawet nie wiemy o wielu zakładach przemysłowych w kraju. Młodzi ludzie tłoczą się do fabryk, w których jest przeludnienie,

a ich opiekunowie nie znając statystycznych wykazów, nie mogą przewidzieć, gdzie ludzi brak, a gdzie ich za dużo. Głos rzemieślnika tym razem nie znalazł się na puszczy. *Gazeta* skwapliwie go wysłuchała i projekt natychmiast w czyn oblekła. Ma wydawać dodatek dla ślusarzów, z warunkiem jednak ważnym — aby przynajmniej *trzystu* abonentów zapisało się przed 20 listopada. Prawie jestem pewny, że spragnieni wiedzy praktycznej, zaspokoją przed terminem oznaczonym toskromne wymaganie organu swego.

W grodzie bawełnianym ozwał się inny głos, chociaż o jajko Kolumba, ale ciekawy, bo z *Lodzerki*. Potrzeba nam szkoły tkackiej — krzyczy fachowiec — lecz tylko o własnych nogach, a nie na obcych podpórkach. Cieszy się z tego p. Sarmaticus w *Dzienniku*, ja zaś posądzam, że w owych „własnych nogach“ płynie krew germańska, a „obce podpórki“ są z polskiego drzewa. Wszakże „siły krajowe“ na zebraniu gminnem (w brzezińskiem) głosowały za wcieleniem do gminy przemysłowca, który nabył grunt włościański. Przyjęto go większością czterdziestu głosów. Wszyscy ci chłopi *polscy* podpisali się na protokóle nazwiskami *obcemi* po... *niemiecku*.

Łódź oznacza się czasem dziwną tajemniczością, jakby z obawy, żeby sława jej działalności obywatelskiej nie rozbiegła się po świecie. Kiedy sprawozdawca miejscowego *Dziennika* dowiedziawszy się o odbytem posiedzeniu pewnego cechu, udał się po szczegóły do „starszego,“ odprawiono go z niczem. Nie wstydzi się za to swych czynów cech piekarski. Przed laty uskarżał się na lenistwo i pijaństwo czeladzi. Po zbadaniu przyczyn okazało się, że zło pochodzi z gospody umieszczonej w szynku. Czeladnik bez roboty cały dzień tam przesiadywał, a „ojciec gospody“ namawiał go do picia nadmiernego. Zachęcony przepijał wszystko co miał, lub się zadłużał na rachunek przyszłego zarobku. Odkryto jeszcze jedną przyczynę — ciemnotę. Zarząd w r. 1883 uchwalił przenieść gospodę do innego lokalu. Na ten użytek przy pewnych oszczędnościach wybudowano własny dom za 3,000 rubli. Dla podniesienia poziomu umysłowego terminatorów poruszono wszelkie możliwe środki. Oto co mówi jeden ze stowarzyszonych: „Należy najprzód o tem pomyśleć, aby majstrowie uczniów swoich wychowywali religijnie i moralnie, posyłali do szkół, aby każdy uczeń miał książeczkę dla odnotowywania obecności na lekcyi. Magistrat powinien naznaczać kary na majstrów nieposyłających swych terminatorów do szkoły.“ Często się zdarzało, iż uczeń przy wyzwolinach przedstawiał fałszywe świadectwo szkolne, chociaż czytać i pisać nie umiał. Uchwalono więc poddawać egzaminowi wszystkich wyzwalających się, bez względu na posiadane świadectwa. Jeden z piekarzów poradził wybranie komitetu, któryby kontrolował majstrów, czy uczniom swym dają zdrowe mieszkania, czy nie każą im sypiać po komórkach lub miejscach, gdzie się mieścić może tylko trzoda chlewna. „Wówczas pokazałoby się, że u bardzo wielu uczniowie znajdują się w smutnem położeniu i że dużo jest takich majstrów, którzy chłopców używają nie do profesyi, lecz do innych robót.“ Więc piekarze łódzcy nie kryją swych wad, lecz starają się je wyplenić. Nadto zrobili już wiele w kierunku odrodzenia się. Cech ten, niegdyś czysto polski, zniemczał później zupełnie, dziś znowu wraca do dawnego stanu.

Łęczyca daje dowody szlachetnych uczuć i przewagi dobra nad złem. Odebrałem stamtąd od naszej czytelniczki liścik z pocieszającemi nowinami. Ochotnicza straż ogniowa utworzyła orkiestrę amatorską z czterdziestu sześciu swych członków, przeważnie rzemieślników. Fundusz (przeszło 300 rs.) na zakupienie instrumentów, zebrano drogą składek. Ci, którzy przedtem trwonili czas i zdrowie w szynkowniach, dziś chwile wolne poświęcają nauce muzyki i pogawędce przy niej. Szanowna korespondentka słyszała szewcową błogosławiącą dyrektora orkiestry za dobrodziejstwo: „Przy jego muzyce nam w domu teraz lepiej. „Mój“ do karczmy już nie chodzi, pieniędzy za dom nie wynosi, tylko gra ciągiem: rano, jak się obudzi, wieczór, a nawet w nocy graniem spać nam nie daje. Ale ja wolę się nie wyspać, byle pijany dzieciom nie dokuczał.“ Jeśli muzyka tak umoralniająco działa na wszystkich rzemieślników łęczyckich, niech grają aż do potu, może rozwój zamiłowania do sztuki rozbudzi inne potrzeby duchowe. Sądzę, że wtedy łaskawa czytelniczka, odczuwająca subtelne tętna życia prowincyonalnego, dorzuci nam znowu garstkę miłych wieści. Oby prędzej!

Wesołe głosy nikną w powodzi skarg ciągłych. Oto i teraz ozwał się chór donośny, z pięćdziesięciu studentów złożony. Słuchałem długo pojedynczych zwrotek prywatnie. Dziś, gdy cała pieśń o warszawskiej kuchni taniej nr. 2 ozwała się publicznie (w *Kur. warsz.*) z kilkudziesięciu piersi, przekonałem się, że filantropia poczyna bardzo chromać. Przed siedmiu laty Tekla Rapacka ofiarowała na założenie taniej jadłodajni 15,000 rs. Z tej sumy 5,000 przeznaczono wyłącznie na urządzenie kuchni dla uczącej się młodzieży. Założycielka żądała, aby obiady były: „tanie, smaczne, zdrowe i obfite.“ Jakże daleko odbiegli od tej woli wykonawcy zapisu! Znam sporo młodzieży akademickiej, która stołując się w instytucyi dobroczynnej, zdołała po dwóch, trzech latach nabyć sobie kataru kiszek. „Tanie“ obiady kosztują po 31 kop. (bywają zdrowsze w restauracyi po 25 k.). Wygłodzony i spracowany młodzieniec pochłania mikroskopijne porcyjki i odchodzi głodny, lecz z uczuciem kamienia w żołądku, a i zmęczy się nielada, bo też zgryźć twarde, elastyczne ochłapy, nie należy do łatwej roboty. Nie tylko dobrze wyglądający „ojcowie“ zakładu są przejęci rolą dobroczynnej działalności; dziewczęta nawet usługujące traktują w taki sposób stołowników, jakby dziadom z pod kościoła dawały zupę rumfordzką. Filantropijna instytucya ma takie dochody, jakimi niejedna z lepszych restauracyj poszczycić się nie może. Słusznie studenci zapytują: jakiem prawem kuchnia tania na wystawie hygienicznej otrzymała dyplom „za wzorowe we względzie smaku i hygieny przygotowane potrawy z mięsa, jarzyn i świeżych konserwów roślinnych“? Mieliżby sędziowie nie wiedzieć o tem, że każdy brudas i obdartus może raz w życiu odziać się przyzwoicie? Przybrani dobrodzieje *powinni* jasno odpowiedzieć na trzy ważne pytania *pięćdziesięciu* studentów: 1) co się stało z kapitałem Rapackiej, jeżeli nadspodziewanie wielka liczba stołowników sama przez się zapewnia byt zakładowi? 2) Co się dzieje ze zwykłym rocznym remanentem w sumie kilkuset rubli? 3) Czy otrzymanie jakiegokolwiek remanentu kosztem stołowników zgadza się z zasadniczą myślą Rapackiej?

Jeszcze jedna skarga. Ex-telefonistka odkryła mi ciekawe tajemnice biura telefonów warszawskich. Panna sumiennie pracująca otrzymała bez żadnej przyczyny dymisyę w przeddzień końca roku. Krzywdziciela sąd ukarał. Lecz jakież tego skutki? Oto nazajutrz po przegranej sprawie pan dyrektor kazał swoim pracowniczkom podpisać zobowiązanie, że w razie nieprawnego usunięcia ich ze służby, zrzekają się wszelkich roszczeń. Czy pan chlebodawca pracuje na świetną przyszłość dla siebie? Może, jeśli podatność karku odpowiada giętkości sumienia...

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytet. Na sędziów uniwersyteckich w r. b. wybrano: Ziegla, Czausowa, Miklaszewskiego i Popowa. Wakują dwie katedry w r. b.: na wydziale fizyczno-matematycznym katedra mechaniki, na lekarskim — psychiatryi. Prócz 57 profesorów zwyczajnych jest dwóch czasowych. Ordynatorów klinik 27, z tych 7 etatowych. Przy laboratoryach 6 stałych laborantów.

Ks. Hohenlohe (pisze *Warsz. Dniewn.*) ostatecznie postanowił wyjednać dla syna poddaństwo rosyjskie, aby obejść prawo z d. 14 b. m. i otrzymać spadek po ks. Wittgensteinie na Litwie. Spadkobiercy, przebywającemu obecnie w Petersburgu, ruscy magnaci proponowali nabycie wszystkich dóbr, lecz ten odmówił, oświadczając, że jest pełen nadziei utrzymania się przy majątkach, chociażby zapomocą przyjęcia poddaństwa rosyjskiego.

Na Górnym Szlązku pruskim spadły niedawno tak wielkie śniegi, że druty telegraficzne poprzerywane, wiele chat w górach, zupełnie zasypanych, musiano odkopywać.

Opryszek Hilla, który szerzył postrach w okolicach Będzina, zginął w jednej z wypraw rozbójniczych. Uzbrojony w nóż i rewolwer, wpadł do mieszkania osadnika Otrębskiego, który rozpłatał toporem czaszkę zbójowi.

W Witebsku kierowniczka 7-klasowej szkoły żeńskiej, p. Sas Cisowska, otworzyła dla dzieci od 4—8 lat ogródek do zabawy według metody Froebla.

W Petersburgu z powodu małej liczby studentów w uniwersytecie, pozostało nierozdanych około 30 stypendyów po 300 rs. i około 40 po 180 rs.

W Mińsku litewskim odbył się koncert młodego skrzypka Erazma Pietkiewicza. Połowę dochodu obrócono na cel dobroczynny. — W r. b. do gimnazyum tamtejszego zgłosiło się 90 kandydatów; przyjęto tylko 27.

Ograniczenia. Pisma ruskie donoszą, iż dalsze mianowanie adwokatów przysięgłych i obrońców prywatnych żydów ma być zawieszone aż do zaprowadzenia stałej normy.

— Ze Zmierzynki wydalono około 300 rodzin żydowskich (60 obcokrajowych). Wskutek tego wszystkie sklepy w mieście zamknięte.

Kary. Oficyaliści, robotnicy itd. za kradzież, popełnioną u swych pracodawców ponad 300 rs., będą podlegali sądom okręgowym z udziałem przysięgłych, nie zaś sądom pokoju, nawet w takim razie, gdy nie należą do stanu uprzywilejowanego.

Ustawa konsularna. Według poprawek w ustawie konsularnej, etatowym konsulem może być tylko poddany ruski.

Wystawy. W d. 22 października otwarto wystawę ornamentacyjną w Warszawie.

— Wystawa szkiców urządzona będzie w połowie b. m. przez pp. Maszyńskiego, Ryszkiewicza i Krywulta w sali hotelu Europejskiego. Dla większego ożywienia artyści rozesłali zaproszenia do malarzów monachijskich. P. Krywult pojechał do Krakowa dla przywiezienia szkiców Matejki i innych znanych artystów.

Literatura. Tadeusz Błociszewski, nauczyciel języka niemieckiego w liceum w Louis de Grand w Paryżu, wydał po francusku studyum *O wpływie niemczyzny na język słowiański.*

— W Paryżu wyszedł pierwszy numer dziennika *Revue de Paris et de St. Petersbourg*, wydany wspaniale nakładem Marrona i Flammariona. *Figaro* o tem piśmie tak się wyraża: „Recueil alerte, pittoresque, belle langue française, politique franco-russe.“

— W Wiedniu poczęło wychodzić informacyjne pismo polityczne i finansowe dla użytku redakcyj dzienników, ambasad, konsulatów i banków p. t. *Correspondence de l'Est.* Drukuje się po francusku i niemiecku w dwóch wydaniach, rannem i wieczornem.

— Pismo *Revue de l'Etranger* wychodzić zacznie od 1 stycznia 1888 r. w Paryżu. Celem wydawnictwa ma być przedstawienie bezstronnego obrazu rozwoju umysłowego we wszystkich krajach europejskich. Współpracownictwo zapewniają: Lesseps, Barthélemy St. Hilaire, Castelar i inni.

Podatki. W ministeryum skarbu otwarto posiedzenia specyalnej komisyi, wydelegowanej dla kwestyi opodatkowania zapałek. Jednocześnie będzie podniesiona opłata celna od zapałek zagranicznych.

Mosk. Wiedomosti donoszą z Paryża, że hymn narodowy ruski ma tam obecnie wielkie powodzenie. Umieszczenie go w programie koncertu w „Jardin d'hiver" ściągnęło liczną publiczność. Zachwycały dwie śpiewaczki, jedna w stroju ruskim trzymała chorągiew francuzką, druga, przedstawiająca Francyę, trzymała sztandar ruski. Oklaskom i okrzykom na cześć Rosyi nie było końca.

Zapis. Małżonkowie Neybauerowie zapisali 480 rs. na wsparcie 6 ubogich jubilerów lub złotników. Zapomoga rozdaną będzie 27 grudnia r. b. Prośby o uzyskanie ich podawane być winny do warszawskiego Tow. dobroczynności.

Koleje. Obecnie, jak donosi *Grażdanin*, zwrócono pilną uwagę na skład służby dróg strategicznych. Istnieje zamiar zabezpieczenia tych kolei od wszelkich wypadków, mogących wynikać z nieprawomyślności urzędników, „którzy teraz stanowią żywioł nietylko obcy zupełnie, ale nawet wprost wrogi wszystkiemu, co rosyjskie."

Prywat-docenci wszystkich uniwersytetów rosyjskich uwolnieni są od obowiązku odbywania służby wojskowej w zapasie armii i pospolitem ruszeniu.

Komisya, zwołana pod przewodnictwem ks. Wołkońskiego dla uregulowania sprawy wyższego ukształcenia kobiet, ukończyła swe zajęcia. Opracowany przez nią projekt roztrząsany będzie na najbliższych posiedzeniach Rady państwa.

Zamach. Na kolei połud.-zach. między stacyą Bobryńską i Czerkasami, złoczyńcy usiłowali w nocy wykolejć pociąg. Podłożyli 8 belek na szynach, dróżnik jednak w ostatniej chwili dostrzegł niebezpieczeństwo, zapalił sygnał i zadął w trąbkę. Pociąg stanął na 20 sążni od belek.

Bank ziemski w Moskwie przeznaczył do sprzedaży z powodu nieopłacenia rat 460 majątków w gub. mińskiej, mohylewskiej, smoleńskiej, witebskiej i wielu środkowych. Licytacye oznaczono na początek grudnia.

Senat finlandzki zatwierdził wyrok sądu w Wyborgu, mocą którego geometra Adolf Grotenfeld i nauczyciel Rudolf Witting za urąganie prawosławnym obrządkom religijnym skazani zostali na karę pieniężną.

Now. Wremia zamieszcza następującą wiadomość z Radzynia (gub. siedlecka): „Jeszcze w roku zeszłym władza dyecezyalna otrzymała wiadomość, że małoludna parafia rusko-wolska (pow. radzymiński), rozrzucona śród przeważającej ludności katolickiej, odpada od cerkwi i jej obrządków. Wobec tego parochowi miejscowemu władza dyecezyalna poleciła zwrócić szczególną uwagę na swych parafian i pociągać ich do cerkwi zapomocą odbywania nabożeństw uroczystych z procesyami i z wygłaszaniem odpowiednich nauk."

Konsul amerykański w Moskwie, van Reiner, został wydalony i wysłany sposobem etapowym (jak więzień) za granicę. Zabroniono mu raz na zawsze przyjeżdżać do Rosyi, a przed ostatecznem wyprowadzeniem zdjęto zeń w urzędzie fotografię. Powodem tego są liczne oszustwa, dokonane na współkę z żoną. Wyrabiał on medale dla kupców moskiewskich, biorących udział w wystawie powszechnej w Nowym Orleanie. Tym sposobem Reinerowie zebrali za nagrody amerykańskie przeszło 40,000 rs.

Koncert na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego odbędzie się 27 listopada.

Przewyżka. Z powodu nowego uregulowania podatku gruntowego obliczono, że w roku przyszłym powyższy dochód wogólności wyniesie 13,050,000 rs. czyli 1,250,000 więcej, niż w latach poprzednich.

Nowy bank zakładają kupcy ruscy w Petersburgu z kapitałem 1,000,000 rs. pod nazwą „Ruski Bank handlowy i komisowy."

Petersb. Wied. donoszą, iż wkrótce zwołane będą w gub. północno i południowo-zachodnich t. z. „wyższe rady" szkolne. Zadaniem ich będzie zwrócenie szkolnictwa w kierunku religijnym. Rady składać się będą z przedstawicieli władzy świeckiej i duchownej pod przewodnictwem parafialnego archiereja.

Bibliografia polska. A. Konopasek, *O piękności kobiecej* ze strony duchowej i fizycznej. str. 109.

Równianka, str. 147.

— J. C. Lobe, *Katechizm muzyki*, z 22 wyd. niem. przełożył J. Kleczyński, str. 136, Gebethner i Wolff.

— W Skiba, *Paryżanin*, powieść, str. 204.

— J. I. Kraszewski, *Król w Nieświeżu* (1784), str. 213, Gebethner i Wolff.

— P. J. Bykowski, *Glinkowie*, powieść, str. 151, (przedruk z *Rom. i pow.*).

— M. J. Zaleska, *Dwie siostry*, opowiadanie z życia młodych dziewcząt, str. 316, Geb. i Wolff.

— Dr. E. Strasburger, *Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowej* (Bibl. przyr. *Wszechświata*), str. 367.

Bibliografia ruska. M. Ursyn, *Oczerki iz psychologii sławianskaho plemieni*, Petersburg, str. 221.

Zmarli. Gilarow-Płatonow, redaktor moskiewskiej gazety *Sowremiennyja Izwiestija*, zmarł nagle w Petersburgu. Przybył tam w celu zabiegów o uzyskanie dzierżawy *Mosk. Wied.*

— Ludwik Emanuel Gonzalès, prezes stowarzyszenia literatów, słynny powieściopisarz i dziennikarz w Paryżu. Liczył lat 72. Długi czas był współpracownikiem dzienników *Le Siècle* i *La Presse*. Pisywał także pod pseudonimem Gomez Ramona Jomenis i Calibana.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Октября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.